# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 46 WARSZAWA, 8 LISTOPADA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

# SPRAWA RUSKA NA ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ

## I. PRZYCZYNY ZANIEPOKOJENIA

POŁOŻENIE polityczne i narodowe na Ziemi Czerwieńskiej w t. zw. Małopolsce Wschodniej daje od szeregu lat poważną podstawę do niepokoju i troski o przyszłość. Dzieje się to właśnie w czasie, gdy jawna walka eksterminacyjna rządu sowieckiego przeciw narodowo czującym Ukraińcom na obszarze Rosji powinnaby Rusinom wszelkich odłamów w Polsce otworzyć oczy na nieocenioną korzyść, jaką im zapewnia pod każdym względem przynależność do Polski i związać ich serdecznem i szczerem przywiązaniem z Polską, jako ze swoją historyczną Ojczyzną. Wszak tu na naszej ziemi znaleźli bezpieczne schronienie także synowie Ukrainy, uchodzący przed bolszewickim pogromem: tutaj rozwija się pomyślnie ich Towarzystwo naukowe im. Szewczenki i inne Towarzystwa oświatowe z „Proświtą“ i „Bidną Szkołą“ na czele. Niedawno odbyło się we Lwowie zebranie zwołane przez zarząd „Ridnej Szkoły“, która w jednym roku miała wydatków w sumie 1,000,000 zł., w tem w samym Lwowie 392,000 zł. na utrzymanie szkół, głównie średnich i zawodowych, a dochody pobiera z wkładek i z podatku narodowego, nałożonego na wszystkich „Ukraińców“, ściąganego pod moralną narodową presją, na co by nam Polakom z pewnością nie pozwolono. Wspaniały rozwój ruskiej („ukraińskiej“) spółdzielczości, z którym polska spółdzielczość na tej ziemi równać się nie może, rozrost związków centralnego i mleczarskiego, mających szeroki zbyt produktów mlecznych i mięsnych w całej Polsce i zagranicą, bujny rozwój innych stowarzyszeń, teatrów ludowych, chórów włościańskich, stopniowe opanowywanie mniejszych miast, do niedawna mających wyłącznie charakter polsko - żydowski, powstawanie coraz nowych warsztatów ruskich i fabryk („ukraińskich“) we Lwowie i na prowincji, wykupywanie realności za wysokie ceny np. we Lwowie, w rynku i w innych miastach, wyprzedzanie Polaków w zawodach wolnych, szczególnie w adwokaturze na prowincji, silne obsadzanie urzędów, szczególnie sądownictwa—te i inne dodatnie objawy powinnyby dać Rusinom pobudkę do przyznania, że w Polsce nie wolno im myśleć o zdradzie narodu i państwa, w którem są traktrowani conajmniej na równi z narodem polskim, pierworodnym gospodarzem kraju.

Niestety tak nie jest, i oto pierwsza przyczyna naszej troski. Rusini w dawnej Galicji, ongi wierni cesarzowi austriackiemu, nazwali się od czasów wojny „Ukraińcami“ na znak, że ich marzeniem i dążeniem jest zjednoczone, niepodległe państwo ukraińskie, nie tają tego wcale, że w stosunku do Polski są separatystami. Ziemię naszą, od wieków przez Polaków wespół z Rusinami zamieszkałą, mianują stale ziemią „ukraińską“. W organizacjach swoich usiłują stworzyć państwo w państwie, wzorując się na przykładzie naszych rodaków pod b. zaborem pruskim, walczących o odzyskanie wspólnej naszej własności narodowej i państwowej, bezprawnie nam przez Prusy zagrabionej.

Dla upozorowania swoich roszczeń tworzą i szerzą fałszywą historię ziemi Czerwieńskiej, niezgodną z niezbitymi faktami dziejowymi. W jakich ideach wychowują swoją młodzież, na to smutnym dowodem są nietylko znane zbrodnie dokonywane pod pokrywką patriotyzmu, ale ów okropny „dekalog“, odczytywany w czasie procesu ministra ś. p. Pierackiego. O dzielnicowem solidaryzowaniu się przywódców ukraińskich ze sprawcami świadczy choćby fakt, że po straceniu bojowców Biłasa i Danyszyna za napad rabunkowy w Gródku Jag. partia ukraińska ogłosiła żałobę narodową i odwołała wszelkie zabawy i przyjęcia w karnawale, a tak samo po ogłoszeniu wyroku na morderców ś. p. Pierackiego cofnięto w

całym kraju zapowiedziane uroczystości Sylwestrowe. Gdy stronnictwo ukraińskie „Undo" postanowiło na razie zawiesić walkę, nie zrzekając się wcale swego programu narodowego, zażądało za to (!) rozmaitych koncesyj od rządu i obecnie skarży się, że „nie wszystkie rzekome obietnice zostały przez rząd spełnione. Równocześnie donosi *„Diło"*, że jeden z posłów ruskich, nazwiskiem Zawałykuł, na zebraniu inteligencji ukraińskiej w Kołomyi stwierdził, że „zbliża się już czas, w którym naród ukraiński zadecyduje o swej niezależności i o niezależności swoich ziem i dlatego trzeba się na ten moment przygotować". Zresztą nawet na taki prowizoryczny *„modus vivendi"* nie godzą się inne partie ukraińskie, rosnące coraz bardziej w siły. Nie zgodził się najpierw „Sojuz Ukrainek" ze znaną b. posłanką Brudnicką na czele; nie zgodził się także „Front jedności narodowej" pod przewodem b. posła Palijewa. Do jakiego cynizmu doszły pretensje przywódców ruskich dowodzi niedawny artykuł ogłoszony w *„Dile"* we wrześniu b. r., w którym *„Diło"* żąda od Polski przyznania odrębnych aspiracyj politycznych dla ziem „ukraińskich" i pociesza nas, że to nie „zagraża polskiej państwowej racji stanu i nie narusza polskiego naturalnego stanu posiadania. A pamiętać trzeba, że zdaniem tych prowodyrów nasz „naturalny" stan posiadania dosięga zaledwie połowy obszaru dzisiejszej Polski: reklamują oni dla siebie nietylko Kresy wschodnie, ale także Podlasie, Chełmszczyznę, Ziemię Czerwieńską i Łemkowszczyznę, wzorem zaborczych Prusaków: „dokąd tylko sięga język „ukraiński..."

Wzmógłszy się na siłach rozszerzają ci zaborcy propagandę bojkotową przeciw Polakom nawet na nieliczne placówki gospodarcze, jakie posiadamy.

Gdy Polacy wydawali „Informatora" o firmach chrześciańskich przeciw zalewowi żydowskiemu, ani przez myśl im nie przeszło pomijać w nim firmy ruskie. Inaczej myślą „Ukraińcy". Polecają oni tylko swoich i publicznie piętnują firmy ruskie, które zakupują pewne produkty u Polaków. Niedawno dziennik *„Ukr. Wisty"* zamieścił cały artykuł wstępny, piętnując między innemi spółdzielnie *„Narodnej Torhowli"* za reklamę kawy *„Franck*'a" zamiast kawy „ukraińskiej", karcąc zarząd hotelu *„Narodna Hostynnicia"* za kupowanie pasty do obuwia „Dobrolin", zamiast ukraińskiej pasty „Elegant", a nawet zarząd zlotu *„Łuhu"* za kupno pieczywa z polskiej piekarni Jaworka, zżmiast z ukraińskiej piekarni *„Zołotoj Kołos"*. Oto atmosfera, wśród której płynie nasze życie polityczne i gospodarcze na Ziemi Czerwieńskiej.

Drugim powodem naszej głębokiej troski jest stan materialny, a bardziej jeszcze nastrój duchowy, naszej polskiej ludności na tej ziemi. Powszechnie wiadomo, że polskość na tej ziemi cofa się, ale cofa się nie tylko pod brutalnym naporem naszych sąsiadów, ale z naszej własnej winy, bo w polskim ręku było i jest napór ten skutecznie zatamować i zadane krzywdy i rany zagoić. Mówię wyraźnie: rany i krzywdy. Już z początkiem naszego życia niepodległego spotkała nasz lud polski na tej ziemi ciężka krzywda: wojska rosyjskie w czasie wojny światowej oszczędzały Rusinów jako „swoich", rabowały zaś, niszczyły i znęcały się nad Polakami; nie powetowała im jednak tych szkód ani Austria, ani Polska. Rebelia ukraińska w r. 1918 i 1919 niszczyła Polaków za kilku nawrotami: nikt im tych szkód nie wynagrodził, pomimo wniosków Związku Ludowo-Narodowego w sejmie, które wymownie popierał poseł Jan Zamorski.

Wojna z bolszewikami w r. 1920 była nową klęską dla ludu polskiego na tej ziemi, a klęską była dlań także... reforma rolna, tak wykonywana, jak to się stało. Za czasów zaboru austriackiego uważaliśmy powszechnie obszary dworskie na tej ziemi za ziemię polską, która w razie parcelacji tylko w ręce włościan polskich — miejscowych lub osadników—dostać się powinna z nieznacznymi wyjątkami. Liczyli się z tą powszechną opinią także Rusini i dlatego już w sejmie galicyjskim głośno protestowali przeciw ustawie krajowej „o włościach rentowych", a jeszcze głośniej w Polsce przeciw polskiej ustawie o wykonaniu reformy rolnej. Tymczasem ustawę tę wykonano wbrew uchwale i instancjom większości twórców ustawy (Związku Ludowo-Narodowego i Piasta) na korzyść Rusinów. Zignorowano zupełnie postanowienie wyraźne ustawy, że narówni z ludnością miejscową mają być uwzględnieni osadnicy i polecono urzędom ziemskim uwzględniać tylko ludność miejscową. W ten sposób obszary dworskie po wsiach ruskich dostały się przy parcelacji w ręce Rusinów, a tylko po wsiach polskich i mieszanych pod względem narodowości mogli z nich korzystać także Polacy. O ile zaś niektóre obszary nabyli osadnicy polscy, nałożono na nich takie warunki, koszta i podatki, że wielu z nich pozbyło się jak najprędzej swoich posiadłości i nie widząc żadnej opieki powróciło do swoich pierwotnych siedzib. Ludność polska przez takie traktowanie poniosła nietylko szkodę materialną ale i moralną, bo przestała w to wierzyć, że w odrodzonej Ojczyźnie znajdzie szczerą pomoc i opiekę. Nadeszły w Polsce jeszcze smutniejsze czasy, w których zaczęto walczyć przeciw polskiemu nacjonalizmowi, pod formą walki przeciw „wszystkim nacjonalizmom". Wówczas utracił lud polski także tę pomoc i opiekę moralną, jaką miał od resztek organizacyj narodowych, od dawnego Towarzystwa Szkoły Ludowej, odebranego narodowcom i skazanego na „bierną rolę „obywatelską", od sędziów, duchownych, urzędników i nauczycieli, którzy musieli się trzymać głoszonej zasady, że w Polsce są tylko obywatele, a niema narodu polskiego. Nie potrzebuję więc tłumaczyć, dlaczego polskość tu się cofa, a tu i ówdzie zanika.

Ale jest jeszcze trzecia przyczyna naszej troski i tej przyczynie pragnę bliżej się przyjrzeć! Tą trzecią przyczyną jest dziwna nieznajomość stosunków wytworzonych na tej ziemi w szerokich kołach opinii polskiej, a nawet karygodne lekceważenie ustalonych granic Polski i integralnej przynależności Ziemi Czerwieńskiej i Kresów wschodnich do Macierzy w niektórych kołach ukrainofilskich, gotowych do hojności z żywego ciała własnej Ojczyzny. Mówi się publicznie i pisze często o „ideologii ukraińskiej" czyli o zamierzonem oderwaniu niemal połowy obszaru Polski na rzecz zjednoczonej Ukrainy tak, jakby granice Polski były ciągle pod znakiem zapytania, jakbyśmy żyli w okresie traktatu brzeskiego z r. 1917 i jakby tego rodzaju dyskusja nie zanosiła zdradą stanu w stosunku do Polski. A biorą udział w takiej dyskusji bez żadnych zastrzeżeń Polacy i Rusini, rozpatrują wszelkie ewentualności możli-

we, konjunktury polityczne, jakby szło o rzecz nam daleką, tylko ideowo nas obchodzącą. Taką dyskusję na łamach „Biuletynu polsko-ukraińskiego" prowadzi się od czasu założenia tego pisma, przyczem nie waha się zabierać w niej przychylnego głosu Leon Wasilewski, b. minister spraw zagranicznych Polski, a także b. urzędnik tego ministerstwa Stanisław Łoś, autor znanej książki „o konstruktywnej polityce na Rusi Czerwonej", w której otwarcie przyznał, że „polityczna myśl ukraińska orjentuje się przyszłą katastrofą w Europie Środkowej i Wschodniej i liczy na to, że ofiarą tej katastrofy padnie Polska, a obecny efemeryczny stosunek Ukraińcow do Polski skruszy się w wyniku powyższej katastrofy", oraz stwierdza, że Polska wskutek umowy warszawskiej J. Piłsudskiego z Petlurą w r. 1920 zaryzykowała wręcz swój byt państwowy na rzecz Ukrainy, poniosła klęską i cudem uchroniła się od zagłady, będąc śmiertelnie wyczerpaną i nie posiadając wojennego materjału. Czyż z tych rozważań wynika, że należy nam iść zawczasu do Ukraińców, do Kanossy, zanim jeszcze nadejdzie owa „katastrofa"?

Są jeszcze inne głosy i fakty bardzo dziwne. Przed t. zw. ugodą z ukraińskim *„Undem"* wydał poseł tegoż stronnictwa Włodzimierz Celewicz broszurę pod napisem *„Narid, Nacja, derżawa"* w której przeciwstawia się idei walki w permanencji przeciw Polakom, głoszonej przez radykalną młodzież ukraińską, ponieważ walka ta w dzisiejszym położeniu Ukraińców tylko im szkodzi, a czas pracuje dla Ukraińców i „przy odpowiedniej konjunkturze cel swój osiągną w drodze walki zbrojnej albo i bez niej." Zapewniano mnie, że ta właśnie broszura o chwilowem tylko zawieszeniu broni, miała byś podstawą „ugody" z Ukraińcami. Nam, polskim narodowcom i patriotom, bardzo trudno uzyskać zezwolenie władzy na zebranie publiczne w sprawie ruskiej na naszej ziemi. Innym snać łatwiej to przychodzi, skoro z końcem lutego b. m. odbyły się dwa takie zebrania we Lwowie, jedno przy udziale t. zw. „Myśli Mocarstwowej". Wedle sprawozdań prasowych mieli członkowie tej „Myśli" na tym wieczorze propagandowym domagać się, aby Polska przystąpiła do oswobodzenia Ukrainy, choćby za cenę narażenia się na utratę Ziemi Czerwieńskiej, Wołynia i innych ziem rzekomo „ukraińskich". Nic dziwnego, że wobec takich zbrodniczych pomysłów polskich „mocarstwowców" mówcy ukraińscy, Kedryn-Bradurski, a zwłaszcza poseł „ugodowy" Pełeński, uderzyli w ton tryumfalny zwycięzców, uważając, „że sprawa oddania Ukraińcom ziem ukraińskich przez Polskę jest już przesądzona, ponieważ Polacy nie mają na tych ziemiach żadnego gruntu, oprócz aparatu rządowego i posad". Takie to dyskusje toczą sie publicznie w Polsce o jej własności i granicach! Nasi „mocarstwowcy" nie wiedzą snać o tem, że nawet zwycięska Rosja sowiecka w chwili swego najwyższego tryumfu w wojnie z r. 1920 przedkładając w dniu 14 sierpnia 1920 delegacji polskiej w Mińsku warunki pokoju (dyktat), nie poważyła się stawiać Polsce takich żądań terytorialnych, jakie mocarstwowcy i ukraińcy przewidują na rzecz Ukrainy: oto wedle tych żądań „jako granica Polskiej Republiki miała służyć linja, nakreślona przez lorda Curzona w mowie z dnia 11 lipca. Przyznaje się Polsce rejon, położony na wschód od Białegostoku i Chełma". A więc nawet tryumfujące Sowiety rosyjskie i ukraińskie nie żądały od Polski ani Podlasia, ani Chełmszczyzny, ani całej ziemi Czerwieńskiej — nie mówiąc już o dalej idących dzisiejszych pretensjach „ukraińskich".

Nie brakło podobnych objawów defetystycznych także w ostatnim sejmie. Oto gdy poseł Celewicz oświadczył, że posłowie ukraińscy będą głosowali za budżetem wojskowym, ponieważ pragną, aby armia polska dobrze się przygotowała do wojny z sowietami celem oswobodzenia Ukrainy i w dodatku wymienił szereg innych niedopuszczalnych warunków natury politycznej i gospodarczej, posłuszni polacy, zamiast oburzyć się na tego rodzaju motywy i warunki, przyjęli takie oświadczenie hucznymi oklaskami. „Gazeta Polska" zapewniała że „takich" wystąpień się nie zapomina i koła rządowe obowiązane są do wzajemności. Dodać tu muszę, że między warunkami wymienionymi przez posła Celewicza było także żądanie, aby wszystkich żołnierzy narodowości ruskiej, którzy idei państwa polskiego pozostali jeszcze wierni i nie chcą nazywać się Ukraińcami (a jest takiego ludu ruskiego na naszej ziemi przeszło milion), aby ich przymusowo nazwano Ukraińcami, czyli aby ich wpędzono do obozu separatystów nieprzyjaznych Polsce! Nikt przeciw temu nie protestował, wszyscy bili brawo!

Otóż jesteśmy już przy czwartej i ostatecznej przyczynie naszego zaniepokojenia. Jest nią poczucie słabości u góry wobec brutalnego, urągającego elementarnym obowiązkom każdego obywatela, naporu polityków ukraińskich, którzy śmią szydzić z niemocy Polski i uważać sprawę polską na ziemi polskiej za „przesądzoną", a armię polską traktować jako narzędzie do swoich politycznych celów! To poczucie słabości, jakie się lęgnie w sferach, które powinny być wyrazem siły i niepodzielności Polski, jest dzisiaj główną, najważniejszą przyczyną zaniepokojenia, bo przygniata niezawisłego ducha polskiego na tej ziemi. Nie jest bowiem powodem do niepokoju ani stan liczebny ludu polskiego, ani cała nasza przeszłość dziejowa na Ziemi Czerwieńskiej, jak się niebawem przekonamy. W razie potrzeby przekona się także ów wojowniczy poseł Pełeński i cały jego obóz, że na tej ziemi jest jeszcze inna potęga polska, poza „aparatem rządowym i posadami".

STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

---

Na schyłku roku, kiedy już wyczerpują się środki wydawnictwa, złożone przez prenumeratorów, których sumptem „MYŚL NARODOWA" jest wydawana, upraszamy odbiorców, zalegających w opłacie, aby rachunek wyrównali. Zarazem zwracamy się do przyjaciół, opłacających zwykle prenumeratę zawczasu, aby zechcieli już teraz nadesłać zaliczkę **na rok 1937.**

# BUDŻET PAŃSTWA I POLITYKA PODATKOWA

PAŃSTWO ma współdziałać w tem, by był jaknajwiększy przyrost kapitału. A pierwszym jego obowiązkiem jest nie przeszkadzać kapitalizacji, nie tamować jej — *primum non nocere*. A więc wchodzi tu w rachubę wpływ gospodarki państwowej, ciężarów, które ona nakłada na zużycie i powstawanie dochodu społecznego.

Jak wiadomo, człowiek może swój dochód obrócić albo na bieżącą konsumcję, albo zaoszczędzić, przeznaczając go na zaspokojenie przyszłych potrzeb. Ale jest jeszcze ktoś, kto pretenduje do tego dochodu, kto czasem nawet i do majątku się dobiera — skarb państwa. Jaki wpływ wywiera ciężar podatkowy na kapitalizację?

Trzeba uwzględnić zarówno wielkość obciążeń, jak i przeznaczenie wydatków. Mógłby ktoś twierdzić, że w gruncie rzeczy państwo, zwiększając te obciążenia, nie zmniejsza dochodu społecznego, a tylko część jego obraca w innym kierunku, bodaj że nawet na cele wyższe, bardziej uzasadnione. Państwo za zebrane pieniądze zaspakaja potrzeby publiczne: utrzymuje ład i bezpieczeństwo, buduje drogi, szerzy oświatę. Pobrane podatki wracają do społeczeństwa w postaci wydatków państwowych.

Jednakże tego procesu nie można ująć w tak prostej formule. Jeżeli państwo ściąga podatki, to sam koszt ich wymiaru i poboru stanowi poważną pozycję. Nikt nie zechce twierdzić, że egzekutor podatkowy zaspokaja jakąś potrzebę społeczną, że bogaci społeczeństwo duchowo lub materialnie. Czasami nieszczęśliwie pomyślana i przeprowadzona opłata więcej kosztuje, więcej sprawia utrudnień gospodarstwu, aniżeli daje czystego dochodu. Ale jeszcze ważniejszą okoliczność trzeba tu uwzględnić.

Nikt nie poddaje w wątpliwość potrzeb publicznych, konieczności ponoszenia na nie ciężarów; znaczyłoby to kwestionować samo istnienie państwa, jego misję cywilizacyjną. Ale **musi istnieć równowaga między tem, co państwo zabiera na swoje potrzeby, a tem, co zostawia gospodarstwu na konsumcję i na kapitalizację. Gdyby państwo pieniądze, uzyskane przez nakładanie podatków, obracało na produktywną oszczędność, gdyby bezpośrednio budowało za to urządzenia produkcyjne, które się opłacają, możnaby widzieć w tym wyraz przymusowej kapitalizacji.** Ale kto zna budżet państwa, i to każdego państwa, ten wie, że wydatki jego idą w małym stosunkowo stopniu na te cele. Przeważnie idą na **pracę nieproduktywną.**

Z punktu widzenia ekonomicznego praca nauczyciela, żołnierza, urzędnika chociaż tak istotna dla narodu i państwa, jest pracą nieproduktywną. Albowiem praca ta nie wytwarza dóbr materialnych, służących do konsumcji lub dalszej produkcji, a oddaje wielkiego znaczenia usługi duchowe; stwarza dobra niematerialne. Setki tysięcy ludzi, zajętych i utrzymywanych przez państwo, są z punktu widzenia ekonomicznego konsumentami; pozapaństwowe gospodarstwo dostarcza dóbr na ich konsumcję. Jeżeli etaty nauczycielskie czy policyjne w budżecie powiększy się o 100,000 osób, to przybędzie tylu funkcjonariuszów publicznych, których trzeba będzie utrzymać; na produkcję dóbr materialnych spadną większe ciężary, a zarazem będzie ona rozporządzała mniejszą siłą roboczą.

Istnieje więc **zagadnienie równowagi między „produkcją"**, jeżeli tak wolno się wyrazić, **usług publicznych**, oddawanych przez państwo, a **produkcją dóbr materialnych**, dokonywaną przez pozapaństwowe gospodarstwo płacące podatki. **Ta równowaga została naszwichnięta.** Ciężar utrzymania całego aparatu państwowego, różnego rodzaju samorządów, uzupełniających działalność państwa, jest ponad siły gospodarstwa. Trzeba zmniejszyć ilość tych, którzy tylko konsumują (oddając usługi duchowe), a zwiększyć ilość tych, którzy wytwarzają środki konsumcji i kapitał. Trzeba powiększyą ilość i zdolność płatniczą tych, którzy płacą podatki, a zredukować wydatek na tych, których się utrzymuje z tych podatków.

Wskazuje się czasem na to, że ilość urzędników państwowych w Polsce nie jest większa, w stosunku do ogółu ludności, aniżeli w innych krajach. Twierdzenie to dość śmiałe — mało państw zachodnio-europejskich ma tak rozgałęziony zakres działania, jak Polska. Ale przypuśćmy, że to twierdzenie jest prawdziwe. Czy jednak nasza ludność może utrzymać taką samą ilość urzędników, jak inne kraje? Według badań Wydziału Ekonomiki Rolnej drobnych gospodarstw wiejskich w roku 1934/35' rolnik, posiadacz gospodarstwa o przeciętnym obszarze 13 ha, otrzymuje za swój kapitał i pracę swoją i rodziny, razem z dochodem w naturze 990 zł. rocznie. A ile otrzymuje małorolny? A jakie jest położenie gospodarcze bezrobotnych, podupadłych rzemieślników i kupców, chałupników, nawet inteligencji „pracującej" względnie pozbawionej pracy?

W Niemczech w r. 1933 dochód społeczny, przypadający na głowę ludności, wynosił (w sile nabywczej z r. 1928), 916 marek, czyli dwa razy tyle, ile dochód trzynastomorgowego gospodarza z rodziną w Polsce. Podobne dysproporcje otrzymamy, porównując polski dochód społeczny z innymi krajami. A drugim wyrazem nadmiernego rozrostu gospodarstwa państwowego jest wielki fiskalizm. Polska np. ma stawki podatku dochodowego, już w niższych jego skalach, daleko większe, niż prawie wszystkie kraje europejskie. Przoduje w ilości i ciężarze gatunkowym monopolów fiskalnych. W podatkach konsumcyjnych czynnik słabej konsumcji ludności usiłuje wyrównać przez wysokość stawek. Obrót jest obciążony różnymi opłatami, nieznanymi gdzieindziej, niekiedy wprost absurdalnymi.

Budżet na rok 1936/37 przewiduje w grupie administracji pracowników państwowych (łącznie z oficerami i podoficerami) — 255,000; w przedsiębiorstwach, monopolach, zakładach i funduszach 191,000 pracowników. Z końcem r. 1935 było eme-

rytów, płaconych ze skarbu państwa, koleje, pocztę, lasy państwowe i monopole 192,530. Budżet województwa śląskiego przewidywał w r. 1936|37— 8,711 pracowników i 1,897 osób, pobierających zaopatrzenie emerytalne. W r. 1934|35 było 88,023 pracowników związków samorządu terytorialnego i 14,255 jego emerytów. W r. 1936|37 przewiduje się etaty na 214,738 wojskowych szeregowców. Renty inwalidzkie pobrało w r. 1935 (1.VII) 190,732 osób. Razem 1,157,000 osób; nie uwzględnia ta suma pracowników, utrzymywanych przez różne subwencjonowane przez państwo i samorządy instytucje, pracowników samorządu gospodarczego i ubezpieczeń społecznych. Dodajmy jeszcze, że „zaludnienie" więzień wynosiło na 1.I 1936 r. — 55,336 więźniów, gdy w r. 1928—29,796.

Już same te liczby uwydatniają konieczność oszczędnej polityki budżetowej, by istniała nietylko czysto formalna równowaga budżetu, lecz także i równowaga między wielkością obciążeń publicznych a siłą płatniczą gospodarstwa narodowego. Sprawy oszczędnych naprawdę budżetów publicznych dotychczas jeszcze u nas nie rozwiązano. Gdy bieda, to znaczy gdy przyciśnie deficyt, wówczas odracza się na później różne wydatki, nie reguluje zobowiązań państwa, a przedewszystkiem obniża uposażenie urzędnicze. Zniżka tych uposażeń była usprawiedliwiona wzrostem siły nabywczej pieniądza. Ale nie uzdrowi się położenia, jeżeli nie zredukuje się nadmiernie rozrosłego aparatu administracyjnego, jeżeli państwo nie wyrzeknie się wielu funkcyj, słowem, jeżeli nie przeprowadzi reformy administracji. Zamiast masy licho płatnych pracowników, trzeba ich zatrudniać mniej, a wynagradzać w ten sposób, by zbyt niskie wynagrodzenie nie wywoływało ciągłego fermentu i nie stanowiło podniety do popełniania nadużyć.

Poza tą zasadniczą reformą, można jeszcze przeprowadzić oszczędności w następujących kierunkach.

Zredukować różne fundusze dyspozycyjne, zarówno figurujące w budżecie jak i pozabudżetowe. Budżet państwa polskiego przeznacza na fundusze dyspozycyjne sumy, stosunkowo największe w porównaniu z budżetami innych państw europejskich, które znają takie fundusze.

Ograniczyć zbytek reprezentacyjny, zerwać z fałszywem przekonaniem, że godność i „*prestige*" państwa wymaga okazałości w życiu jego przedstawicieli. „Reprezentacja" jest tytułem wydatków, pod którym wydaje się wiele niepotrzebnych pieniędzy. Skala życia administracji państwowej powinna być dostosowana do faktu, że jesteśmy bardzo ubogiem społeczeństwem.

Zredukować subwencje, wypłacane z budżetów publicznych różnym instytucjom, które czasami są tylko pozornie instytucjami społecznemi. Subwencje bardzo często są źródłem demoralizacji, wykoszlawiają zdrowe podstawy działalności społecznej; brak jest nad nimi kontroli; bardzo często służą ukrytym celom partyjno-politycznym.

Sporą oszczędność będzie można uzyskać przez to, że się nie będzie powiększało ilości emerytów, których utrzymanie, mimo redukcji ich uposażeń, nie zawsze zgodnej z poczuciem prawnem, pochłania kolosalne sumy. Nie może być w państwie tak zw. młodych emerytów, ludzi zdolnych do pracy, którzy tej pracy zostali pozbawieni. Należy zatrudnić ich z powrotem w administracji państwowej.

Reforma administracji winna się wyrazić w szczególności w tem, by skoordynować zadania adminisracji państwowej i samorządów; nie mogą tego samego wykonywać dwa niezależne od siebie organy, ani też nie można utrzymywać dużym kosztem urzędów, które nic nie mają do roboty. Np. powstanie kosztownego samorządu gospodarczego (Izby Przemysłowo-Handlowe, rzemieślnicze) nie wywołało zmniejszenia zadań państwowej administracji gospodarczej, a też samorząd nie ma żadnego wpływu, administracja państwowa z nim się nie liczy, ale dużo kosztuje.

Największym zbytkiem, a zarazem największem obciążeniem jest brak fachowości w administracji i przedsiębiorstwach państwowych. Nie ma tu miejsca by przytaczać przykłady — ale śmiało można przyjąć, że ta niefachowa administracja i gospodarka kosztowała już setki milionów. Wystarczy przypomnieć fakty, ujawnione w różnych procesach karnych. Jeżeli stanowiska odpowiedzialne, wymagające wiedzy fachowej,i doświadczenia, obsadza się pod kątem widzenia „zasług" lub doraźnych celów politycznych, nic dziwnego, że wiele pieniędzy idzie na marne i że nie można uporządkować naszego gospodarstwa.

W dzisiejszych czasach istnieje jeszcze jedna przyczyna nadmiernych wydatków. Oto przerzuca się na budżet państwowy koszt utrzymania grupy rządzącej i to pod najrozmaitszemi postaciami i tytułami. Budżet powinien zawierać wydatki, które mają ogólne znaczenie. Każda grupa polityczna, choćby była grupą rządzącą, powinna się utrzymywać własnymi środkami. Jeżeli nie ma wyższego poparcia narodu, to może kosztowną walką o utrzymanie się przy władzy, robieniem na ten cel bezpośrednich i pośrednich wydatków (milicje, obchody, uroczystości i t. d.) zrujnować skarb państwa, ale nie zdoła przy tej władzy się utrzymać. Masom chce dać *panem et circenses;* gdy jednak za dużo *circenses*, to czasem braknie *panis*.

Równolegle z oszczędnością musi iść i reforma podatkowa. Potrzebę jej wszyscy uznają. W nowym systemie podatkowym jest za wiele tymczasowych, „nadzwyczajnych" danin; istnieją w nim różne sprzeczności i rażące niesprawiedliwości obciążenia; a przedewszystkiem fiskalizm doszedł w nim do tak wysokiego natężenia, że musi się cofnąć, gdyż w przeciwnym razie będą się tylko pogłębiały niedomagania gospodarcze.

Nad naszą polityką podatkową zaciążyło fatalnie złudzenie, że przez zwyżki stawek można bez końca powiększać wpływy podatkowe. A tymczasem rzeczywistość jest bliższa raczej następującego kontrastu: największe stawki, najmniejsze wpływy. Żaden system podatkowy nie zdoła wyprzedzić tempa rozwoju gospodarczego; każdy zależny jest od stanu konsumcji i produkcji. Okazało się np. że dokonana przed kilku laty zwyżka cen Monopolu Spirytusowego przyniosła obniżkę wpływów. Konsumcja zapałek spadła z powodu wzrostu opodatkowania. W dziedzinie podatków bezpośrednich zachodzą analo-

giczne skutki, ale przez pewien czas można im przeciwdziałać przez wzmożony nacisk śruby podatkowej.

Gdy np. porównamy obciążenie osób prawnych podatkiem dochodowym z obciążeniem w innych krajach, dojdziemy do wniosku, że nasze obciążenie stanowi zachętę do ucieczki kapitału. kardynalnym warunkiem kapitalizacji jest zasada, że produkcja powinna się opłacać. Niektóre stawki podatkowe podkopują tę wypłacalność. Reforma musi iść w kierunku ujednostajnienia obciążeń podatkowych i złagodzenia ostrości systemu opodatkowania. Należy równocześnie ograniczyć dowolność władz wymiarowych, oprzeć wymiar podatków na ściślejszych podstawach prawnych. Należy, jeżeli się chce przeprowadzić ożywienie gospodarcze, wnieść w nasze podatki więcej stałości i pewności; bez pokoju podatkowego nie wyjdą z ukrycia drzemiące kapitały; inicjatywa prywatna nie ruszy z miejsca.

W planach reformy podatkowej należy odróżnić zarządzenia doraźne, któreby pobudziły wytwórczość, od trwałych zasad, na których ma się oprzeć system podatkowy. Doraźnie możnaby zagwarantować niepodwyższanie obciążenia podatkowego przez parę lat, chociaż przedsiębiorstwa powiększą swoje obroty przez zatrudnienie nowych pracowników. W trwałym systemie należy jaknajbardziej oszczędzać kapitał, przeznaczony na dalszą produkcję w szczególności na produktywne inwestycje; ciężar opodatkowania trzeba raczej skierować na dochód konsumowany.

Warunkiem naprawy systemu podatkowego jest zniesienie masy różnych opłat, pobieranych przy różnych sposobnościach, często bez wyraźnych podstaw prawnych. Gospodarka naszych monopolów fiskalnych wymaga gwałtownej reformy; niektóre monopole, jak np. spirytusowy, przy lepszej administracji powinny przynosić większe dochody. Upraszczając cały system wymiaru i poboru podatków, trzeba mieć na oku fakt, że dzięki jego skomplikowaniu ludność żydowska w bardzo wysokim stopniu wymyka się z pod ciężaru podatków, jak to zresztą od wieków robiła w Polsce, a urzędy skarbowe nieraz obciążają nadmiernie tych, którzy nie umieją się bronić.

Nie możemy w tej chwili kreślić szczegółowego stanu reformy podatków. Ale warto raz jeszcze podkreślić, że system podatkowy należy dostosować do rzeczywistej możności płatniczej, że jego dobre funkcjonowanie zależy nie od wysokich stawek i bezwzględnego fiskalizmu, lecz od pomyślnego stanu gospodarczego kraju. Celem reformy podatkowej w dzisiejszych warunkach jest zabezpieczyć tę pomyślność od strony skarbu państwa.

Nie będzie w państwie oszczędności, nie będzie administracji podatkowej, przestrzegającej prawa, o ile kontrola nie zajmie odpowiedniego miejsca. Gospodarka publiczna, to gospodarka naszym groszem. I dla tego zagadnienie kontroli w państwie jest szczególnie ważne i trudne.

Najpierw wchodzi tu w grę jawność finansów państwowych. Oczywiście są rzeczy tajne, których nie można ujawniać; nikt nie powinien wiedzieć o tem, jakie nowe systemy obrony czy ataku lotniczego stosuje państwo. Ale to są przypadki wyjątkowe. Czasami powagą tajemnicy państwowej chce się osłaniać zwyczajne nadużycie. Jeżeli obywatel ponosi ciężar utrzymania państwa, jeżeli płaci na nie podatki, to może mieć ten lub inny wpływ na władzę w państwie lub go niema, ale przynajmniej powinien wiedzieć, na co idą pieniądze publiczne.

Jawność finansów, to znaczy jawność, zupełność i dokładność budżetu, możność krytyki gospodarki przez opinię publiczną, jest kardynalnym warunkiem uniknięcia nadużyć, dyletantyzmu i rozrzutności w gospodarce. Nie pomoże jak najlepiej zorganizowana kontrola wewnętrzna, na nic się nie zdadzą wezwania do jak najbardziej surowego życia, jeżeli gospodarka nie będzie prowadzona na oczach opinii publicznej. Bo wtedy w administracji wytworzy się fałszywy *esprit de corps*, wyrażający się w ukrywaniu nadużyć w imię powagi władzy, i wzajemna dla tych nadużyć pobłażliwość. Nie wystarczą tu jakieś wewnętrzne sądy kapturowe. Nadużycia są wszędzie. Ale lepiej jest, gdy o nich wiadomo, niż gdy o nich nie wolno mówić ani pisać. Kredyt państwa, stałość waluty, to wszystko zależy od pewności w gospodarce państwowej.

Ale na tem nie koniec. Obok jawności w gospodarce, kontrola zasadza się na podziale funkcyj—na tem, że organ powołany do kontroli jest niezależny od organu kontrolowanego. Odpowiadają temu postulatowi niezależne izby kontroli, ale mają one dość ciasny zakres działania. Ważniejszą jest rzerzą, by ten, kto dysponuje groszem publicznym, kto go wydaje, był przez prawo ograniczony w swobodzie tej dyspozycji.

Zasadę tę urzeczywistniło nowoczesne prawo budżetowe; władza zwierzchnia zatwierdza budżet i kontroluje jego wykonanie. Dzisiaj ten porządek ulega wstrząśnieniom, w związku z kryzysem ustrojów prawno-politycznych. Nie chcemy w tej chwili wchodzić w omawianie zagadnień ustrojowych. Ale niezależnie od tego, jaki będzie ostateczny ustrój państwa, jak dalece odbiegniemy od dawnego ustroju, jest rzeczą konieczną, by obok władzy wykonawczej był ktoś, kto tę władze kontroluje, ktoś, kto zakreśla ramy prawne wydatkom państwa; by w tej lub innej postaci w tych czynnościach uczestniczyło przedstawicielstwo narodu.

Skupienie całej władzy w jednym ręku kryje w sobie duże niebezpieczeństwo dla finansów państwa, ekspansja finansowa grupy rządzącej nie zna wówczas żadnego hamulca; wydatki rosną, państwo zaciąga zobowiązania, których nie może spełnić. Pod adresem dawnych przedstawicielstw ludności pada zarzut, że one właśnie zwiększały wydatki. Zarzut słuszny, ale uprawnienie tego przedstawicielstwa można ograniczyć, zrobić z niego raczej narzędzie oszczędności a nie powiększenia wydatków. Gdyby władza wykonawcza mogła sama wydawać pieniądze na co chce i ile chce, nia wyszlibyśmy z chaosu finansowego. Ten ustrój prawno-polityczny zdoła się utrwalić, który będzie miał zdrową gospodarkę budżetową i dobre prawo budżetowe.

ROMAN RYBARSKI

# CONRAD WOGÓLE

POWYŻSZY nagłówek do swego artykułu wziąłem ze świeżo wydanej książki prof. Józefa Ujejskiego, gdzie końcowy jej rozdział jest tak zatytułowany. Nastręcza mi on parę uwag w sprawie poruszonej tam przez autora książki[1]).

Prof. Ujejski ujmuje tu główne rysy osobowości znakomitego pisarza, o którym powiada między innemi, iż „wogóle — z jakiegobądź punktu widzenia—wychodziło zawsze na to, że Joseph Conrad zdaleka czy zbliska, czytany, czy słyszany, oglądany w ubraniu codziennem, czy w smokingu—czemś dziwi, czemś imponuje i jest niewątpliwie fenomenem".

Wszyscy, z małemi wyjątkami, skazani jesteśmy na tworzenie sobie wyobrażenia o fenomenalności Conrada głównie na podstawie jego utworów, gdyż wrażeń bezpośrednich od jego osoby niedoznawaliśmy; ci natomiast co, opierając się na nich, charakteryzowali jego istotę duchową mogli nieraz przesadzać w ocenie ważności tych lub innych jej cech oraz właściwości, albo wywodzić je ze źródeł wątpliwych.

Tak np. przyjaciel Conrada, krytyk Garnett, jego nagłą wybuchowość, kontrastującą z jego wytwornością obejścia, uprzejmością w stosunkach z ludźmi, dobrocią i t. p. — nazywał rysem charakteru polskiego.

Wogóle widział on w Conrad'zie dwie splecione razem natury: jedna była kobieca, serdeczna, czuła, pogodnooka, druga męska, straszliwie krytyczna, okrutnie ironiczna, władcza, nieubłagana.

Już nie wspominam o tym, nie wiele mówiącym istotnego, zdawkowym podziale na „męskie" i „kobiece" natury, ale jakaż tu przesadna jaskrawość epitetów w ocenie „męskich" rysów!

A teraz parę faktów, dotyczących „wybuchowości" Conrada: Kuzynkę swoją, p. Anielę Zagórską, która go zachęcała do przeczytania „Nad Niemnem" Orzeszkowej—ofuknął wzburzony: „Nic mi tej baby nie przynoś!!! Jeszcze gwałtowniej miał kiedyś potraktować — i to we własnym domu — jakąś neifortunną wielbicielkę jego utworów, która zachwycała się snobistycznie ich kosmopolitycznym charakterem etc...

Tego rodzaju nieoczekiwane wybuchy mogą jaknajnaturalniej i jaknajsłuszniej powstawać w jednostkach nawet bardzo pogodnych i opanowanych, gdy je ktoś nagle dotknie w najczulsze miejsce ich duszy, gdy „embetuje" głupiemi sądami i zarzuca niewczesnemi pytaniami i t. p., — nie są jednak wcale dowodem tego, iż ich istota daje się podzielić na dwie sprzeczne ze sobą natury. Tu nietylko osobę wybuchającą niespodziewanie należy zbadać, lecz i przyczynę doprowadzającą do wybuchu. W wypadku z Orzeszkową przyczyna była dostateczna — aż nadto — żeby czuć do niej głęboką urazę, i w chwili odpowiedniej, po wielu latach, tak gwałtownie z jej powodu zareagować. (Jak wiadomo przyczyną był list Orzeszkowej w którym autorka „Nad Niemnem" robiła wyrzuty Conradowi z powodu, iż ten zerwał z własnem społeczeństwem, że pisze po angielsku i t. p. Nieznam brzmienia listu tego, wyobrażam jednak sobie, znając surową cnotę Orzeszkowej, że musiał on być bezwzględny, niemiłosierny. Nic dziwnego, że Conrad który sercem i myślą był zawsze związany z Polską, mógł się czuć boleśnie nim dotkniętym).

Okazuje się dalej, że obok natury „męskiej" i „kobiecej", istniała w Conradzie jeszcze trzecia—„dziecinna", często bowiem potrafił bawić się i zaśmiewać jak rozbrykany chłopiec, i wtedy, w rozmowie, skakał z jednej „ekstrawagancji" i „niedorzeczności" w drugą, jak świadczą ci, co w tem brali udział.

I tu jednak niema czegoś fenomenalnego, nadzwyczajnego, i jest to dość normalnem, powszedniem zjawiskiem u natur twórczych, pisarzy i artystów, żyjących potężnem napięciem wewnętrznem, w częstem podnieceniu swego ducha.

Takiem chłopięcem „rozbrykaniem" oraz lubowaniem się w oszałamiających „ekstrawagancjach i niedorzecznościach" odznaczał się np. Balzac (jak świadczy o tem Teofil Gautier i w innych), który przecież niemiał zbyt wiele powodów do pustej uciechy, gdyż, jak sam o sobie mówił, był „galernikiem" przykutym do swojej taczki.

Nie unikał podobnych uciech G. de Maupassant, posępny neurastenik, który chętnie bawił się z dziećmi i, dosłownie, wywracał razem z niemi koziołki; oddawali się często rozmaitym „blagom lirycznym" — jak wspomina o tem Leon Daudet — wszelakim pustactwom i wesołym zabawom, tacy nawet jak ociężały melancholik, Flaubert, i niezgrabny i z zasady poważny, E. Zola.

Zmienność usposobień, nagłe przejścia od jednego stanu duszy do innego, wręcz przeciwnego, to rzecz powszednia w życiu jednostek, które zaliczamy do kategorii artystów. W podobnych procesach odgrywa u nich wybitną rolę imaginacja, im potężniejsza, tem mniej spostrzegająca różnic pomiędzy fikcją własną i rzeczywistością, a stąd rodzą się owe „ekstrawagancje i niedorzeczności"; odzywa się tu także instynkt samozachowawczy, który ich ostrzega przed przeciągnięciem struny, przed katastrofą ducha, która następuje, gdy jego napięcie dochodzi kresu wytrzymałości. Wekslują więc w inną stronę, gdy to czują.

Po nadmiernym wysiłku duchowym, zwykli nawet śmiertelnicy szukają ulgi w zmianie treści oraz kierunku życia ich duszy, cóż więc mówić o tych, co nierzadko są męczennikami swego ducha!

Niepowinna więc nas dziwić w życiu Conrada owa, spostrzegana przez jego bliskich, zmienność nagła i nieoczekiwana jego usposobień, ta wybuchowość, czy dziecinność jego stanów duszy, raczej można byłoby się dziwić, gdyby to wszystko nie zachodziło. I niema tu zasadniczej sprzeczności pomiędzy temi trzema naturami jego istoty, gdyż stanowią one jedną, typową naturę artystyczną, jaką był w wysokim stopniu.

---

[1]) „O Konradzie Korzeniowskim" (str. 298, r. 1936 Wyd. „Dom Książki Polskiej"). Książka prof. Ujejskiego jest jedyną większą polską pracą o Conradzie, już więc z tego względu należałoby się jej w „Myśli Nar." szersze omówienie, czego najpewniej dokona ktoś kompetentniejszy ode mnie. Co do mnie to tu wyznaję, iż ujęła mnie ona żywem i ciepłem uczuciem autora w traktowaniu Conrada, nie mówiąc już o gruntownem zbadaniu zagadnień związanych z jego osobą oraz twórczością, i o dużej wartości literackiej, jaką się wyróżnia wśród współczesnych studjów krytycznych.

Nawiasem mówiąc tej „troistości„ natury Conrad'a, a właściwie jej darowi zmienności, takiemu lub innemu przechodzeniu z jednego stanu ducha w drugi—odmienny, zawdzięcza się to, iż był on artystą o tak dużej skali twórczej, o tak wyjątkowo pełnym regestrze.

Powiadają jeszcze ci, co bliżej znali Conrad'a, że w duszy jego drzemała zawsze snem czujnym i lada czem przerywanym, nieukojona melancholia.

Pochodziła ona — jak to jaknajsłuszniejszej mniema prof. Ujejski — z największej głębi jego ducha, z najwewnętrzniejszej tegoż prawdy. W melancholii tej tkwi, jak mi się zdaje, sedno rzeczy, ona bowiem stanowi najcharakterystyczniejszy rys jego osoby duchowej, i nadaje jej ton zasadniczy, przebijający się przez wszelkie inne.

Możnaby długo mówić o tem komu i czemu zawdzięcza Conrad tę swoją nieodstępną towarzyszkę życia?

Można tu powoływać się na skutki dziedziczności, na doświadczenia życiowe, na te lub inne ciernie, tkwiące głęboko w jego organizmie duchowym, i wciąż dające znać o sobie. Jakkolwiekbądź faktem niezbitym będzie to tylko, że ta utajona w nim melancholia promienieje nieustannie z jego duszy, otaczając go — i jego dzieło twórcze — subtelną atmosferą.

Śmiem nawet utrzymywać, iż była ona objawem żywotności jego natury, i że to ona przedewszystkiem nadawała jej piętno fenomenalności.

Chodzi tezaz o gatunek tej melancholii. Poznawałem ją głównie z dzieł Conrad'a, z których wydziela się ona licznemi porami. Po przeczytaniu każdego niemal jego utworu, mimowoli przychodziły mi na myśl słowa jednego z jego ziomków, poprzedników w melancholii — odmiennej zresztą natury — mianowicie słowa z „Marii". J. Malczewskiego: „I pusto, smutno, tęskno jak gdy szczęście minie"... Właśnie: jak gdy ono minie! Tylko u Conrada, chociaż wówczas, gdy poczucie tego dusza sobie uświadamia, jest jej „smutno i tęskno", nie jest jednak tam „pusto", jednocześnie bowiem zaczynają w niej odzywać się tego rodzaju uczucia, co ją wyprowadzają z okręgu własnej niedoli na szerokie przestrzenie tragicznych losów istnienia ludzkiego wogóle.

Tu wypełnia się ona uczuciami: miłosierdzia, sprawiedliwości, przebaczenia i wyrozumienia dla błędów i grzechów ludzkich, słowem żywem współczuciem dla człowieczeństwa, nieodgadnionym wyrokiem losu skazanego na utratę nadziei zwycięstwa sił własnych w walce z niepojętą potęgą, odbierającego więcej niż dającego — życia.

Trzeba dodać, że tego rodzaju uczucia żywi człowiek, który o ludzkości nie był zbyt wysokiego mniemania, co mógłby się nawet pisać na sąd Leopardi'ego, mianowicie iż „świat jest sprzysiężeniem łotrów przeciw szlachetnym". Wszakże wyraził kiedyś Conrad, w liście do jednego z przyjaciół, że świat jest pełny „oszustów, tchórzów, kłamców, okrótników" — wśród nich natomiat, tu i ówdzie tylko, dostrzegał jednostki, których charakterowi i wierności można zaufać, ale te najczęściej padają ofiarą pierwszych. W melancholii Conrada niedostrzegam momentów bierności, bezwoli i bezruchu, gdyż przeciwnie pobudza go ona do działania, do walki — uskrzydla jego ducha. W tem najpewniej jest dużo zasługi morza, na którem przebywał przez dwadzieścia lat, borykając się z jego potężnym żywiołem; duma oraz poczucie obowiązków żeglarza nakazują walkę z przeciwnościami do ostatka, nawet wbrew nadziei! Morze, jak powiadał — „niepozwala w swej sprawiodliwości zapadać nudnie w bezruch. Arcymądrem zrządzeniem takiej łaski nie daje ludziom czasu na wielorakie rozmyślania o cierpkim smaku istnienia".

Otóż Conrad, czuł wprawdzie ten cierpki smak jak mało kto, lecz pozbywał się go wciąż, wyrzucał z siebie z uczuciem wzgardy i obrzydzenia dla źródeł skąd ów niesmak życia mógł pochodzić, słowem trwał w stanie walki, w ruchu utrzymywał czynne władze swego ducha. Zawziętość w tej mierze, patos — zawdzięcza Conrad nietylko swemu charakterowi żeglarza, jego ambicji oraz przyzwyczajeniu opierania się wrogim siłom, lecz jeszcze być może tej swojej postawie don-kiszockiej, jaką dostrzegli w nim już za młodu jego bliscy, a czego nie wypierał się on wcale i później. Lubował się owszem w jednostkach tego typu, jak świadczą niektóre z jego utworów, w takich co urągają rzeczywistości i z nią świadomi strat ponoszonych ztego powodu często się rozmijają. Sam także, w głębi swej istoty, pomimo swego ostrego krytycyzmu oraz ironiczsego spoglądania na ludzi i na rzeczy, a nawet i siebie samego, nie rozstawał się ze wzniosłymi wytworami swojej wyobraźni, i pozostającemi z niemi w związku postanowieniami, jak np. z trwaniem na staconych posterunkach i t. p.

Wobec tego wszystkiego znowu niepokoić może zagadnienie — skądże w jego duchu nieodstępująca go melancholia? dlaczego ona, dlaczego na czem wzrok jego spoczął, to, wśród blasku słońca, powlekało się smugą cienia, dlaczego on sam nie wychodził z jego wiecznego kręgu?

Tak znacznemu i szlachetnemu duchowi nieośmieliłbym się wdzierać bezceremonialnie w jego tajniki oraz twierdzić, że sięgnąłem do ich gruntu. Niemniej jednak mogę i sobie przyznać prawo docierania do tego, co mnie w nim wzrusza i zadziwia: jakżeby inaczej mógł pomiędzy nami ustalić się serdeczniejszy związek?

Przypuszczam tedy, iż „nieukojona melancholia" Conrad'a płynęła między innemi stąd, że wspomnienia niektórych czynów, co zaciążyły na jego życiu, nie mógł on usunąć ze swej duszy; nie mógł z lekkiem sercem przejść do porządku dziennego nad tem, co się w jego istnieniu dokonało z wyroków losu, o czem przekonać świat i ludzi było trudno, gdyż pozory, zdarzenia zewnętrzne świadczyły przeciw niemu.

Tak np. musiała go nękać myśl, iż uległ on „straszliwej naturalizacji" (tak nazywa Conrad proces zlania się z obcem społeczeństwem Anglika, Dr. Monygham'a z powieści „Nostromo", p. str. 81, tom 2-gi), czego wynikiem było to, że wypowiedzieć się w całej pełni mógł nieinaczej jak tylko tworząc w języku obcego narodu.

Podobnież mógł odczuwać zarzut „dobrowolnej emigracji" (o czem i teraz wspominają niektórzy, rozważający jego dzieje) — czego właściwie nie było, jakże bowiem, sumiennie rzeczy biorąc, można mówić o „dobrowolności" czynów — co przecież wymaga rozwagi oraz przewidywania następstw — gdy chodzi o szesnastoletniego chłopca.

A gdy klamka po wielu latach zapadła, gdy rozmaite okoliczności wciągnęły go wgłąb" obcego

życia narodowego, „silniej niż by to mogło uczynić powodzenie i zaszczyty" (p. „Nostromo"), droga do powrotu została zamknięta.

Jak jednak o podobnie poufnych i bolesnych sprawach przekonywać ludzi, jak oczyszczać się z zarzutów winy, która była i jednocześnie nie była? Duma oraz skromność nie pozwalały na obronę siebie samego, a zresztą i bezskuteczność wszelkich argumentów w tej mierze. Stał więc bezbronny wobec muru, którego głową nie można było przebić.

Gdy więc, rozważając własne dzieje, bieg życia swego oraz jego skutki, mówił że „życie jest męczącem następstwem dni i nocy" — nie był to jakiś, mniej lub więcej szczęśliwy, zwrot retoryczny, nie była to „literatura", lecz jednostajna prawda jego istnienia: z nią weszła do jego duszy nieukojona melancholia! Pomimo to wszakże, jako żeglarz nieustraszony, by nie narazić niczem godności własnego powołania, nie przestawał głośno wyznawać, iż najwyższy cel istnienia polega na tem „żeby być wiernym wzruszeniom, zrodzonym z głębokości okolonej firmamentem gwiazd"...

Z tą wiernością, rozrzucając życie własne „na cztery wiatry" — jak powiadał — płynął przez „straszliwe morze", przez życia ludzkiego ogromne przestrzenie — w Nieznane!

Nie trzeba dodawać, iż stąd rodziła się wielka poezja jego twórczości.

Tak odczuwałem Conrad'a czytając jego dzieła, takim mi się wydał wogóle po odczytaniu polskiej książki, jemu poświęconej,

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

# NA WIDOWNI

Cienie Siostry Moniki i Ruszczyca. — Poezja w klasztorze. — Malarz poeta ziemi rodzimej. — Ruszczyc i Kasprowicz. — Bułhak o tajemiczych źródłach natchnienia. — Czy autograf?

WŁAŚNIE gdy pisać mi wypada w dzień Zaduszny, czytam w dziennikach doniesienia z odległej ziemi naszej „na Litwie" o śmierci dwojga ludzi, których nie znałem osobiście, z którymi jednak łączyła mnie harmonja duchowa, jakbyśmy w jednem chórze śpiewali.

W latach między 1924—1926 pozostawałem w korespondencji z Siostrą Moniką Sopodźko, niepokalanką z klasztoru w Słonimiu. Odezwała się do mnie pierwsza z ujmującem serce zaufaniem i uznaniem za pracę narodową, którą w jej oczach reprezentowałem. Przysyłała do druku przekłady poetów słowiańskich (czeskich, chorwackich, serbskich, bułgarskich, rosyjskich), tłumaczyła nawet Heinego. Sporo tych przekładów zamieściłem w „Gazecie Warszawskiej" w r. 1924, niektóre w „Myśli Narodowej" (1927). Podpisywała się S. M. S. (Siostra Monika Sopodźko).

W jednym z listów, które zachowałem, pisała: „Niech to pana nie dziwi, że zakonnica przekłada takie wiersze, jak utwór jednego z najnowszych chorwackich poetów, Nazora pt. „Na łodzi", gdyż podobała mi się poprostu muzykalność tego wierszyka, którą — o ile możności — starałam się odtworzyć". Te akcenty artystyczne jej upodobań i zamiłowanie w studiowaniu obcych języków mocno mnie zainteresowały. Jaśniała też dla mnie w oddali, jak tajemnicza gwiazda, mile działająca na wyobraźnię, bo pogłębiająca perspektywę polskiej kultury literackiej, że nie kończy się na rogatce warszawskiej, ale sięga het do Słonimia, nawet do klasztorów.

Teraz ta gwiazda zgasła ku powszechnemu, jak widzę, żalowi. W „Warsz. Dzienniku Narodowym" wiadomość o śmierci Siostry Moniki brzmi w tych słowach:

„Dnia 27 października r. b. zgasła w wieku lat 65 w klasztorze ss. Niepokalanek w Słonimiu nieodżałowanej pamięci siostra Monika Sopodźko, znana z wieloletniej pracy pedagogicznej, niestrudzonej i pełnej poświęcenia.

Czczona była i kochana nietylko przez uczenice, wychowanki, współpracownice Zakładu wychowawczo-naukowego, którym kierowała, ale i przez wszystkich, którzy mieli szczęście zbliżyć się z Nią i poznać wysokie zalety Jej umysłu i serca. Miasto Słonim traci w Niej przezacną obywatelkę, mądrą przewodniczkę i doradczynię młodzieży, wogóle niewiastę niezwykłej miary duchowej, niepospolitego umysłu i wykształcenia. Znane są i cenione Jej piękne utwory literackie i poezje, pisane pod pseudonimem „Jawnuta" i drukowane w czasopismach stołecznych i prowincjonalnych. Niosła w nich ludziom ukojenie i odblaski tęczowe piękna Bożego na ziemi".

— — — — — — — — — — — —

Jednocześnie nadeszła wieść o śmierci znakomitego malarza Ferdynanda Ruszczyca, b. profesora uniwersytetu Wileńskiego, potomka szlacheckiego rodu osiadłego w Oszmiańszczyźnie. Umarł w Bohdunowie, swoim majątku dziedzicznym.

Rzeczą znawców będzie ocenić wartość dzieł i zasługi tego inicjatora i wychowawcy na polu kultury artystycznej; mojem zadaniem może być tylko wyrażenie żalu, że zgasł ten poeta ziemi polskiej.

Trzeba trafu, że myślałem w tych dniach o Ruszczycu z powodu kwestji, jaką nastręczył przypadkowo jeden z jego obrazów.

Bardzo interesującą korespondencję w tej sprawie zawdzięczam uprzejmości przyjaciela, który miał sposobność tego lata oglądać obrazy, wiszące w sali Rady Powiatowej w Nisku. Zatrzymała dłużej jego uwagę litografia, będąca reprodukcją obrazu F. Ruszczyca.

Opisuje ten obraz w takich słowach:

„W gmachu Wydziału Powiatowego w Nisku wisi pod szkłem w czarnych ramach litografia koloru ciemnej sepii. Rozmiar—20×40 cm. Obraz przedstawia na pierwszym planie głębokie skiby zoranej roli, o silnych, wyraźnych grzbietach. Skiby w oddali łączą się z widnokręgiem i zanikają we mgle oddalenia. W głębi w dal ciągnie się szereg słupów, połączonych drutami — to linia telegraficzna,—wzdłuż tej linii również w dal posuwają się dwie pochylone postacie ludzkie. Niebo nad wszystkiem chmurne, skłębione. Obraz ma tytuł „W świat".

„U dołu obrazu na lewo w rogu autograf „Ferdynand Ruszczyc", nieco niżej na białem obramowaniu litografii — autograf Jana Kasprowicza — wiersz o „ziemi czarnej", tej z obrazu zapewne. Wiersz jest bez tytułu. Pisany atramentem czarnym. Atrament wyblakły. Wiersz bardzo czytelny. Nie jest podzielony na strofy, lecz na tem białem obramowaniu litografii od lewego skraju ku prawemu napisany — jakby odrazu pod wrażeniem obrazu. Obraz istotnie ma dużo siły. I ja-

ko temat i jako wykonanie. Podpis mistrza jest umieszczony pod wierszem, z prawej strony u dołu. Przy podpisie data: „Lwów 1902", też ręką jego napisana. Wiersz ten przepisałem dokładnie:"

Żywicielko droga, Ziemio czarna!
Pod pług wzięto ciebie i pod bronę,
W łonie twojem plenne drzemią ziarna,
A my w świat twe dzieci rodzone.

Na twych łanach rozszumią się kłosy,
Sierpy brzękną w słonecznej roztoczy,
A przed nami posępne niebiosy,
Głębia świata, którą burza mroczy.

O wy ziarna! O pełne wy snopy!
O ukojnych żniw godzino złota!
Żal i smutek idą w nasze tropy,
A przed nami w mgławicach—tęsknota...

Żal i smutek wiszą jak tumany
Chmur nad naszą macierzystą ziemią,
A jej zagon w skiby rozorany,
A w jej wnętrzu plenne ziarna drzemią.

Któżby śmiał cię winić, matko nasza,
Któżby dzisiaj śmiał złorzeczyć tobie,
Że nas droga tułacza przestrasza,
Że cię w takiej rzucamy żałobie!

Żal i Smutek niech idą przed nami
I tęsknota i miłość bez końca,
A ty, Matko, złotymi kłosami
Szumij, pieść się i śmiej się do słońca.

Żywicielko droga, ziemio czarna!
I w nas jeszcze wesele zagości:
Jeszcze będziem spożywać twe ziarna,
Jeszcze złożym w twem łonie swe kości.

Lwów 1902 JAN KASPROWICZ

— — — — — — — — — — — —

Łatwo dostrzec, że wiersz ten powstał pod wpływem wrażenia, jakie na poecie zrobił obraz, istotnie (jak go pamiętam) bardzo suggestywny. Malował go także poeta, malarz Ruszczyc, oddany duszą Ziemi. Pamiętamy wszyscy tak często reprodukowany obraz „Ziemia", który Ruszczycowi drogę do sławy otworzył — owe obłe wzgórze z parą wołów u pługa, zarysowanych plamą na tle nieba.

Warto porównać powyższy wiersz z poematem z r. 1898 w cyklu „Akordy jesienne", poczynającym się od strofy:

Ziemio, droga rodzicielko!
ukochałem zagon twój.
Choć tak skąpem sypią ziarnem
rzadkie kłosy twoich zbóż,
że głód wtargnął w nasze chaty;
że w nich żółty zasiadł znój
i wyblakłem patrzy okiem
na stół pusty, w pustą kruż!

Czemu opuszczający tę ziemię wędrowcy tak wzruszają Kasprowicza? Bo im współczuje własnem uczuciem przywiązania do ziemi rodzonej. „Ziemio, matko najemników! Rodzisz plemię biednych sług, przecież serce k'tobie lgnie"...

Gdy mowa o Ruszczycu, który tak wzruszył Kasprowicza swoim oszmiańskim krajobrazem, staje obok nich trzeci poeta Ziemi, Jan Bułhak z Wilna. W niedawno wydanej (Wilno 1935) ślicznej książeczce „Ruszczycowskie dożynki" (w cyklu broszur „Wędrówki fotografa w słowie i obrazach") opisuje siedzibę Ruszczyca w Bohdanowie i jej okolice. Gdzież szukać lepszej psychologii krajobrazu, jeśli nie u Bułhaka?

„Dwór i krajobraz bohdanowski"—pisze on—„są całkiem jednolite w swym szczególnie stężonym wyrazie. Niema w nich nic błyskotliwego, nic obliczonego na zewnętrzną drobiazgową ozdobność. Jest prostota wielkich linij i mas, zadumana, surowa powaga i żywiołowa bujność wiekowego istnienia, te same cechy, jakie znajdujemy w pejzażach Ruszczyca, które tu mają przeważnie swoje pierwowzory" (9).

Idźmy z Bułhakiem w pole:

„Wchodzę na wzgórze, skąd okolica rozściela się szeroko i wzorzyście i ujawnia wybitne znamiona pejzażu Ruszczycowskiego. Już nie wiem, w jakim stopniu oddziaływa rzeczywistość, a w jakim interpretacja artystyczna, ale krajobraz ten odsłania mi oblicze poważne, majestatyczne, zarysowane wielkiemi, sfalowanemi liniami, na które patrzy się nie z pobieżnem zainteresowaniem turysty, ale z jakąś synowską czcią w skupieniu niemal religijnem. Ta ziemia ma własny ton, skupiony i majestatyczny, ta ziemia przywodzi na myśl organowy hymn kościelny, wibrujący pełnemi, niskiemi akordami i nastraja do głębokich rozpamiętywań..."

„Może to emanacje jej dawnych dziejów unoszą się nad polami i odradzają się razem z plonem każdego żniwa, może to duchy pokoleń, co przeminęły w pracy i miłowaniu i błąkają się po tych rozłogach... A może ten czarodziej artysta tak swem życiem całem przetworzył i wypięknił bohdanowską ziemię, że już niepodobna widzieć jej inaczej, jak tylko jego oczami?" (19—20).

Te piękne wyczucia Bułhakowe tłumaczą nam tajemnicę czaru, jaki wywarła na Kasprowiczu artystyczna, w pejzażu malarskim dokonana synteza Ziemi. Przemówiła przez niego do poety dusza Ziemi. Jej mowa złączyła dwu polskich artystów z dwu krańców kraju.

— — — — — — — — — — — —

W liście przyjaciela, który mi odpis wiersza przysłał, cenny jest sam tekst; w wydaniach zbiorowych pism Kasprowicza nie znajduję go, nie pamiętam przytem, aby w swoim czasie gdziekolwiek był publikowany. Cennem także jest dla mnie wzruszenie przyjaciela pełne artystycznego poczucia na widok dwu dzieł sztuki, tak z sobą wnętrznie zespolonych.

Muszę mu jednak odebrać złudzenie, jakoby to był autograf Kasprowicza, to znaczy, aby ten wiersz był wpisany jego ręką specjalnie na tym jednym egzemplarzu litografii.

Napisał go Kasprowicz swoją ręką na kamieniu, z którego wraz z obrazem został odbity w większej ilości egzemplarzy. Dlatego tak wyraźnie jest wykaligrafowany. Niewątpliwie jest to rzadkość, ale w żadnym razie nie oryginał autografu, lecz *facsimile*.

W owym czasie Ruszczyc, jak sobie przypominam, gościł w Krakowie i we Lwowie. Musiał zbliżyć się z Kasprowiczem i zaprzyjaźnić. W tej litografii dali świadectwo krewieństwa swych dusz poetyckich.

ZYGMUNT WASILEWSKI

OD WYDAWNICTWA

Z dniem 1 listopada r. b. red. Jan Rembieliński wystąpił z redakcji „Myśli Narodowej.”

# GŁOSY

IGNACY DASZYŃSKI — to było przez lat kilkadziesiąt hasło ruchu demokratycznego, który szybko przeobrażał stosunki w zaborze austriackim. Zmarł teraz, pokonany chorobą starości właśnie wtedy, gdy z jego posiewu na glebie przez ruch socjalistyczny uprawionej, buja już komunizm, jako konsekwencja drugiej międzynarodówki.

Teraz dopiero się widzi, a może i Daszyński przed śmiercią to zobaczył, że ten ruch politycznie poza ideałem jakiegoś frontu ludowego i przewrotu, nie zawierał w sobie nic, coby mogło sprzyjać politycznym aspiracjom narodu.

Pozowanie na polską rację stanu — P. P. S. było zawsze karykaturą polityki polskiej. Pokazało się to podczas wielkiej wojny o wolność i potem kiedy Daszyński, nie wiedząc co z odzyskaną Polską zrobić, stanął na czele rządu lubelskiego. Oczywiście tylko brak zmysłu politycznego był przyczyną, że Datzyński poparł zamach 1926 r., aby się znaleźć w potrzasku, z którego nie znalazł już wyjścia.

Siłą Daszyńskiego był temperament i krasomóstwo. Polskę można doskonale deklamować, bo dużo w każdym jej wątku jest poezji. Deklamowała ją też cała demokracja galicyjska, ale bez sensu. Sens był znany jej inspiratorce — masonerii międzynarodowej.

W tymże Lwowie, gdzie teraz demokracja jednoczy się z komunizmem pod protektoratem półurzędowego „Kurjera Porannego”, w roku 1900 odbywały się uzupełniające wybory do sejmu pod hasłem: Daszyński *contra* minister Piętak. Cała demokracja szła do wyborów z socjalistami, bo nawet „Słowo Polskie” z Rutowskim i Romanowiczem (w czamarze). Gdy Daszyński przepadł, młodzież demokratyczna na Politechnice podczas wykładu zarzuciła prof. Thulie (prezesa Czytelni Katolickiej) kaloszami. Takie już wtedy były przedsmaki frontu ludowego.

Daszyński, wódz ruchu rozstrojowego, był jednocześnie wodzem tego obozu, który walczył z obozem narodowym; o co chodziło w tej sztuce? O to, by nie dopuścić do stworzenia w społeczeństwie jakiejkolwiek dyscypliny polskiego myślenia politycznego. Polska musiała się od Daszyńskiego i jego ludzi bronić. Jeżeli nad grobem jego bez żalu osobistego staje, to dlatego, że nie zarzuca mu nieprawości osobistej; zamyśla się nad procesem dziejów, które dotąd nie pozwoliły duszy polskiej zorganizować się koło własnego pionu.

PRZYPOMINAMY PEŁEN EMFAZY A JEDNOCZEŚNIE PRAWDY NAJSZCZERSZEJ OKRZYK żydów z Polski, zwrócony do komunistów hiszpańskich: „Wasza sprawa jest naszą sprawą!” Okrzyk ten zilustrujemy dzisiaj zdaniami reportażów, jakie do warszawskiego organu sjonistów (a więc nacjonalistów...) nadsyła z frontu katalońskiego korespondent S. L. Schneiderman. Odjazd z Paryża:

„Dwa pociągi odchodzą każdego wieczoru z Paryża do Hiszpanii, oba w tym samym czasie i z dwu sąsiednich peronów. Przy jednym pociągu stoją nieliczni odprowadzający—panowie ubrani z elegancją, z monoklami i z parasolami w ręku. Na sąsiednim peronie ciżba skromnie ubranych ludzi pracy, mężczyzn i kobiet, ocierających sobie chusteczkami oczy.“

„Pierwszy pociąg odchodzi do Irunu i przewozi rzekomo niemieckich „turystów“ którzy na miejscu przeistaczają się w lotników i wojskowych doradców generała Franko. Drugi pociąg jedzie do Port-Bou i wsiadają doń francuscy, włoscy i polscy robotnicy, którzy pragną przedostać się przez granicę i ofiarować swe siły republikańskiej Hiszpanii“.

A więc bujda według stałej recepty: do Burgos jadą burżuje z monoklami w oczach i z parasolami w ręku, do Port-Bou natomiast robotnicy. Burżuj z Nalewek siadł do pociągu robotniczego. Omylił się? Nie. To robotnicy francuscy, włoscy i polscy omylili się jadąc z nim jednym wagonem. Mylą się tak zresztą od wielu, wielu lat... Jadą nawet na tę tragiczną pomyłkę krew oddać swoją pod Madrytem czy pod Oviedo:

„Im bliżej Hiszpanii, tem więcej słońca w krajobrazie i w niwecz rozpryskują się puste balony kaczek dziennikarskich, bezustannie fabrykowanych na postrach przez prasę faszystowską.“

Rzecz, przyznajmy L. S. Schneidermanowi, godna napiętnowania. Bo co za ohydne oszczerstwo faszystowskich dziennikarzy! Pisać, że deszcz, podczas gdy jest piękna pogoda...

„Wielu robotników bierze mnie za Francuza i czyni mi wyrzuty, dlaczego Blum nie pozwala przysyłać im broni“

Jacy ci Francuzi teraz do siebie podobni!

Wiadomo, że rewolucja narodowa uparcie, krok za krokiem zajmuje ziemie hiszpańskie. Korespondent „Naszego Przeglądu” tłumaczy swoim czytelnikom stan walki beztrosko i wcale sprytnie:

„Na pierwszej stronie czytamy wiadomości o postępach armii republikańskiej na froncie pod Huesca i w Oviedo. Są to tak zwane fronty nacierające, leżące najbliżej stolicy Katalonii.”

„Front madrycki ma charakter raczej defensywny. Oddziały rządowe nie miały tu jeszcze możliwości przejść do atakowania nieprzyjaciela, ale z niezwykłem bohaterstwem milicja stawia czoło atakom armii powstańczej.“

Tam gdzie powstańcy biją jest „front defensywny” i „...oddziały rządowe nie miały tu jeszcze możliwości przejść do atakowania nieprzyjaciela...” Czytelnicy L. S. Szneidermana z Warszawy zapewne uwierzą. Im się wydaje, że na wojnie, jak w handlu, trzeba czekać na koniunkturę.

W Barcelonie L. S. Schneiderman trafił akurat na przyjazd okrętu wiozącego 3000 tonn ładunku z Z. S. S. R.

„Nie jest już dla nikogo tajemnicą, że Niemcy, Włochy i Portugalia hojnie wspierają hiszpańskich faszystów. Pomoc pochodzi od sztabów generalnych i wyraża się w formie bomb i karabinów maszynowych. Ale nie słyszeliśmy jeszcze dotychczas, by ludność Berlina lub Rzymu odjęła sobie od ust, by wysłać pomoc do Burgos...”

„Nietylko masy Związku Sowieckiego gotowe są nieść pomoc antyfaszystom Hiszpanii. Przybyło już tu kilka okrę-

tów z żywnością, odzieżą i medykamentami z Francji i z Meksyku".

Z Francji to już nawet jechały biszkopty. Tylko, że na jednej ze stacyj kolejowych niespodziewanie wybuchły.

„Ponad głowami tłumu powiewają czerwone i czarno-czerwone chorągwie różnych organizacyj i oddziałów wojskowowych. wśród których spostrzegam chorągiew z napisem: „Oddział im. Ilji Erenburga". Koledzy wyjaśniają mi, że oddział ten dziś w nocy udaje się na front."

Koledzy z oddziału im. Ilji Erenburga? Nie. Zapewne z batalionu im. Karola Marksa. Tamci udają się na front, ci wzbudzają zapał rewolucyjny w Barcelonie.

„Do późnej nocy rozprawiano w kawiarniach o potężnej manifestacji w porcie. Podkreślano ze szczególnem zadowoleniem fakt, że również trockiści przybyli na powitanie okrętu."

„Przed Hotel Colon stała gotowa do drogi kompania im. Erenburga, oraz inne oddziały, odkomenderowane na front pod Huesca. Pokrzepieni na duchu imponującą manifestacją solidarności międzynarodowej, milicjanci około północy wyruszyli na dworzec".

Nacjonalista żydowski L. S. Schneiderman jest również pokrzepiony na duchu: manifestacja solidarności międzynarodowej, oddziały im. Erenburga, oddziały im. Marksa, trockiści również przybyli na powitanie okrętu... To w Hiszpanii, a w Polsce okrzyki podczas obchodów komunistyczno-socjalistycznych: „Niech żyje wyższość kultury żydowskiej!", „Niech żyją żydzi przywódcy proletariatu!"

W Barcelonie:

„Średniowieczna katedra, zbudowana na kształt twierdzy, stoi w gruzach, na wpół rozwalona".

„Do niedawna handel uliczny był tu zabroniony i zastępował go handel domokrążny. Obecnie handlarze przestali już łazić po piętrach, pozwolono im wyjść z kramikami na ulice. Upodobali sobie szczególnie Rambla — bulwar, ciągnący się na długości kilku kilometrów, aż do portu. Wśród handlarzy spotykam też polskich żydów—z Kołomyi, Częstochowy, Łodzi a nawet z Góry Kalwarii..."

Znają się wszyscy... z Kołomyi, Częstochowy, Łodzi a nawet z Góry Kalwarii... I pomyśleć, że po to się wali w gruzy średniowieczne katedry, ażeby Srul z Lubartowa mógł wołać „Handel!" „Handel!" na Rambla w Barcelonie!...

# IMPONUJĄCY WYSIŁEK

ŚWIĘTO narodowe bułgarskie, obchodzone 3-go października, t. j. w rocznicę wstąpienia na tron obecnego króla Borysa III — przypomina Polsce ów najsympatyczniejszy chyba naród Bałkanu. Najsympatyczniejszy dla tego, że imponować musi wysiłek ogromny, jakiego dokonał i te rezultaty do jakich doszedł.

Położony na najbardziej wschodnim krańcu półwyspu Bałkańskiego, najbliżej cieśnin i Azji, a najdalej od reszty chrześciańskich państw Europy, musiał ten naród pierwszy ulec naporowi tureckiemu, wcześniej niż bardziej zachodnia Serbia, czy zadunajska Rumunia. Dostał się też pod jarzmo na długo przed bojem Kossowskim, bo zaraz po klęsce pod Nikopolisem (gdzie walczył Zawisza Czarny) jeszcze w 1396 r. A jak pierwsi dostali się do niewoli tureckiej, tak też i ostatni z niej wyszli odzyskując niepodległość w lat kilkadziesiąt po Grecji i Serbii — dopiero w 1878 r. Ostatnie zaś ślady zależności i tytuł królestwa uzyskała Bułgaria w r. 1908, gdy Rumunia w 1881, a Serbia w 1882.

Znajdowali się więc najdłużej w jarzmie tureckiem, a ta niewola była tem cięższa, że cerkiew bułgarska, niegdyś autokefeliczna, została podporządkowana greckim patriarchom z Fanaru, odbierając im i tę resztkę samodzielności jaką drogą autonomii cerkiewnej można było w państwie tureckiem zachować. Ta druga niewola trwała do r. 1870, a więc bez mała tak długo jak polityczna. I w historii Bułgarii zatem Fanar odegrał podobnie złowróżbną rolę, co w rumuńskiej. Jedyny jaśniejszy obraz tej ponurej niewoli, to fakt, że leżąca w głębi półwyspu Bułgaria nie była terenem wojen, co stanowiło przekleństwo Rumunii. W każdym razie jej niewola była najcięższa, upadek kompletny i tembardziej należy podziwiać odrodzenie.

Odrodzenie to zaczęło się oczywiście od przypomnienia sobie dawnej świetności i dawnej chwały. Mnich Paisi z ławry chilandarskiej na górze Atos napisał, jeszcze nie tyle po bułgarsku, co po cerkiewnemu „Historię słowiano-bułgarską narodu, carów i świętych bułgarskich". Praca ta ukazała się w r. 1762 i rozbudziła drzemiące poczucie narodowe. Było zresztą w czem czerpać — car Symeon, car Samuel, historie bogomiłów i Asienowie to wszystko były rzeczy, jakiemi nie mogły się poszczycić ani Serbia mimo Duszana, ani tembardziej Rumunia, mimo całej swojej niezaprzeczalnej ciągłości kulturalno-historycznej i postaci Stefana Wielkiego.

Nic też dziwnego, że książeczka Paisiego ożywiła naród bułgarski i choć skromnie, zaczyna sobą jego nową historię. Historię równie krwawą i burzliwą jak dawniejsza, i — co warto zaznaczyć—równie ciężką. To też dorobek tego narodu, który znajdował się w trudniejszem od Rumunii, czy Serbii położeniu, a prawdę rzekłszy je przegonił, jest naprawdę zdumiewający.

Jeśli chodzi o literaturę—to licząc sobie, jak słusznie prof. Brückner podkreśla, ledwie sześćdziesiąt lat normalnego rozwoju — zdobyła sobie już pewne miejsce w literaturze świata. Dzięki wszechstronnemu talentowi Iwana Wazowa (1850—1921) wiedzą o niej i poza Bułgarią. Nie jest on zresztą jedynym, bo pomijając już paru innych — w każdym razie Todorow (1879—1916) stanowi jednostkę wybitną. Jego „Sielanki" zostały przełożone na język polski i dają możność zapoznania się z tym oryginalnym twórcą, będącym prawdziwym wyrazicielem duszy swojego narodu. Bądź co bądź owa literatura zdegradowana z pierwszej w Słowiańszczyźnie do najmłodszej, najostatniejszej przewyższyła starszą od siebie serbską, z której jeden tylko Stankowić z swoją niedawno tłumaczoną „Nieczystą krwią" stanowi coś warte poznania. Co więcej nawet porównanie z literaturą rumuńską, a więc literaturą narodu co zawsze miał swoje warstwy oświecone i szlachtę, nie wypada tak niepochlebnie dla Bułgarii, jakby to można przypuszczać i rywalizacja Bułgarów z tą literaturą jest dzisiaj rzeczywistością mimo nierównoczesnego startu i niejednakowych warunków.

Nie tylko swoją literaturę dźwignęli Bułga-

rzy, ale i naukę. Uniwersytet w Sofii, założony dopiero w 1888 r. — młodszy zatem i od Belgradzkiego i od najstarszego rumuńskiego w Jassach— potrafił jednak się wyrobić na prawdziwe centrum kulturalne. W dziedzinie nauk humanistycznych taki nieżyjący już profesor Ulatarski w niczem nie ustępuje słynnemu Jordze. Zorganizowano szkolnictwo zarówno niższe jak zawodowe i w krótkim przeciągu czasu uczyniono Bułgarię kulturalnym krajem.

Wspaniały teatr, postawiony w Sofii w 1907 roku dał sztuce narodowej godne schronienie. Wogóle nie siląc się na żadną reprezentacyjność, nie udając wcale większych niż są w istocie, — zrobiono z Sofii prawdziwie europejskie miasto, które choć oczywiście ustąpić musi Bukaresztowi, to jednak z Belgradem zwycięsko wytrzymuje porównanie.

Rozwój gospodarczy owych sześćdziesięciu lat jest równie imponujący. Sieć dróg i kolei pokryła cały kraj, a choć drogi bułgarskie nie są tak świetne jak czeskie, to jednak nie są już temi romantycznemi szlakami przygód, jakiemi były za rządów tureckich. Zorganizowano bankowość i całe nowoczesne życie gospodarcze. Wad zbytniej industrializacji udało się temu rolniczemu krajowi uniknąć. A o zmyśle politycznym i społecznym narodu najlepiej świadczy to, że pozbawiona przez traktat w Neuilly powszechnej służby wojskowej— zorganizowała Bułgaria na jej miejsce t. zw. powszechną służbę pracy z poboru. „Trudowacy", mężczyźni i kobiety dają w ten sposób państwu możność dokonywania wielkich robót publicznych i rzetelnej służby narodowi. W ten sposób Bułgaria potrafiła zachować dla swego ludu te walory jakie daje powszechny pobór wojskowy i stworzyła pierwsza organizację, która dziś jest sławna dzięki Hitlerowi.

Nie będzie więc przesady, gdy ten naród tak pracowity, rządny i waleczny uznać za pierwszy na Bałkanie. Konsekwencja jego wysiłków musi mu być przyznana, ocena musi być sprawiedliwa. A jego wartość elementu konsolidacyjnego na półwyspie podnoszą także warunki w jakich pracował.

Trzeba bowiem pamiętać, że historia nowej Bułgarii nie była jakąś sielanką w stylu naprzykład historii Szwecji dziewiętnastowiecznej, ale pełna była, iście po bałkańsku, burz i przewrotów. Pierwszy książę Aleksander Battenberski, wnuk w prostej linii naszego ministra wojny Maurycego hr. Hauke po jego córce Julii, morganatycznej żonie ks. Heskiego — musiał wkrótce pod naciskiem Rosji abdykować, obalony przez sprzysiężenie oficerów.

Drugi Ferdynand Koburski był przez dłuższy przeciąg czasu traktowany przez mocarstwa jako uzurpator, i w końcu po przegranej wojnie także abdykował. Trzeci władca, obecny król Borys, początki panowania miał niesłychanie trudne. Dyktatura chłopska Stambolijskiego, spiski komunistów z słynnem wysadzeniem katedry sofijskiej w powietrze—oto sceny z pierwszego dziesięciolecia.

Stosunki wewnętrzne komplikowała jeszcze stale sprawa macedońska, ciągłe walki komitadżów i ciągłe zatargi graniczne, palące przez to, że aspiracyj terytorialnych Bułgarii nie zaspokojono. Stąd wojny, jakie ten z usposobienia zresztą pokojowy naród, musiał toczyć — jedna z Serbią w 1886, a potem „bałkańska" z Turcją w 1912 r., której ciężar ponosiła głównie Bułgaria, atakując linie Czataldży, zdobywając Adrianopol i wygrywając krwawe bitwy pod Kirk-Kilisse i Lüle-burgas. Owoców tych zwycięstw Bułgarię pozbawiono w drugiej wojnie bałkańskiej, w czasie której uległa przemocy połączonych armij byłych swoich sprzymierzeńców Serbii i Grecji oraz Turcji i Rumunii. Zawód jakiego wtedy doznała pchnął ją dwa lata później w r. 1915 do obozu niemieckiego, czego skutkiem była przegrana w wielkiej wojnie i ciężki pokój.

W każdym razie naród bułgarski w ciągu swojej tragicznej przeszłości, a także i doświadczeń ostatnich lat, dał dowód, że umie wytrwać, umie pracować i umie w razie potrzeby walczyć o to wszystko co za wielkie i dobre uważa.

KAROL STEFAN FRYCZ

# NAUKA i LITERATURA

## „PO WYBORACH W ŁODZI"

OSTATNIE wybory do Rady Miejskiej w Łodzi były wydarzeniem ogromnej wagi. Łódź bowiem jest dzisiaj barometrem politycznym Polski. Ona wskazuje temperaturę, jest zapowiedzią choroby lub zdrowia.

Poprzednie wybory dały większość Obozowi Narodowemu. Polska Partia Socjalistyczna poniosła klęskę. Do klęski tej przyczynił się i ostry spór z żywiołami komunistycznemi. Obecnie sytuacja się nieco zmieniła. Uaktywniony „Front Ludowy" scalił w jedno socjalistów, komunistów i żydów. Wprawdzie na krótki czas przed wyborami sporo niezadowolenia w łonie czerwonej koalicji wywołał wyrok moskiewski, ale tylko na krótko. Dnia 27 września „Front Ludowy" rzucił na szalę wypadków wszystkie siły, doprowadzając do pozornie absolutnego zwycięstwa — większości mandatów. Zwycięstwo, powtarzamy, było jednak pozorne. Po pierwsze dlatego, że odniosła je koalicja, po drugie, że nie reprezentowała ona żywiołów polskich. „Jest rzeczą bezsporną"— czytamy w wydanej właśnie cennej broszurze J. Giertycha— że obóz narodowy uzyskał przytłaczającą większość głosów polskich (str. 10). „Obóz narodowy ogłosił przed wyborami, że kto głosuje na jego listy, ten tem samem opowiada się za odebraniem żydom w Polsce praw politycznych..." — „Wśród ludności polskiej, obóz narodowy uzyskał większość — i to znaczną. Plebiscyt został więc przez obóz narodowy wygrany. Pod tym względem odnieśliśmy wyraźne zwycięstwo". (str. 11). Zestawienie sił obu stron walczących (bo „ci trzeci", jak wykazały wybory, nie istnieli), jest doskonałym obrazem starcia nacjonalizmu polskiego z żydowskim. Pierwszy przykład: „Fundusze narodowe — to były, co się zowie, fundusze ludowe. Z drobnych ofiar, z trudem zebrane, — oszczędnie i oględnie wydawane". (str. 7). „Jak wieść niesie, na akcję wyborczą (socjalistyczną) w Łodzi sypnęli groszem niektórzy fabrykanci żydowscy". (str. 7). To też w oczach wciąż stoi pytanie zadawane każdym ułamkiem muru: „Burżuju, ile dałeś na akcję wyborczą P. P. S-uw?" Drugi przykład: „Burżuazja (żydowska) ławą głosowała na P. P. S., — ławą o wiele bardziej zwartą, niż żydowski lud (który głosował w dużym odłamie na partie żydowskie). Biedota (polska) w znacznej większości głosowała na listę narodową". (str. 7).

---

[1]) Jędrzej Giertych: „Po wyborach w Łodzi" — obserwacje i wnioski. Warszawa 1936. Nakładem własnym. Skład główny w administracji „Warsz. Dziennika Narodowego", Nowy-Świat 47. Cena 30.

„Gdy opuściłem Łódź“ — pisze Giertych — „i powróciłem do Warszawy — doznałem najwyraźniejszego uczucia, jakie się me, wracając z frontu na t. zw. „*Hinterland*“.

Zakisły światek warszawski, — cienka skorupa okrywającej gorącą głąb „lawy“ kraju — żyje sobie swojem życiem, obojętny na to, co nurtuje milionowe masy narodu. Ploteczki, roztrząsanie „wielkich“ problemów w rodzaju tego, co myśli i jak zamierza postąpić p. X. lub p. Y., albo jakie się snują intrygi w tej, czy innej sanacyjnej koterii, — no i partia brydża. Życie owadów na listku rzęsy, — życia, które lada zmarszczka na powierzchni stawu zatopi.

A tymczasem w kraju toczy się dramatyczna walka (str. 3).

Czytam te słowa, jak wspomnienie niezapomnianych chwil jakiejś odświeżającej kąpieli w morzu entuzjazmu. Zebrania w lokalach fabrycznych, rozmowy z kolegami organizacyjnymi, robotnikami, nocne patrole uliczne — wszystko staje wyraźnie przed oczyma. Broszura Giertrycha, omawiająca jak zwykle, bardze jasnym i przystępnym językiem całość problemów związanych z ostatnim plebiscytem, pozwala tym, co to nie zaznali niezapomnianych wrażeń, wziąć tę naprawdę orzeźwiającą kąpiel a przeto skonfrontować siebie z temi masami walczącemi o ideał Wielkiej Polski. Moralność kombatanctwa z robotnikiem łódzkim i niemoralność bierności — oto ton broszury, główny jej motyw, wartość tych pięciu krótkich rozdziałów największa.

Widzew. „Reputacja Widzewa, jako gniazda komuny, wynika stąd, że pod opiekuńczymi skrzydłami p. Kohna (właściciela Widzewskiej Manufaktury), Front Ludowy czuje się tu szczególnie dobrze. Socjalistyczny „Łodzianin“ wyraża się bardzo ciepło — i zapewne nie bez powodu — o „kierowniku pewnej wielkiej manufaktury“, pod którym nietrudno się p. Kohna domyślić“. (str. 3). Robotnicy Widzewa pracują. „Nie widać u nich ani znudzenia, ani znużenia, — tylko zaciętość i jakiś niemal r e l i g i j n y z a p a ł. Trudno uważać lokal Stronnictwa Narodowego na Widzewie za Alkazar — ale czuje się, że ci ludzie w razie potrzeby i w Alkazarze mogliby się znaleść“ (str. 4).

Prawda. B.

# FILM

ROMA: „Toni z Wiednia“, film austriacki.

Jeden z najsympatyczniejszych filmów, jakie zdarzyło mi się widzieć w kinie „Roma”.

Zapewne, pod względem artystycznym, nie jest to rzecz—jak się mówi--zapięta na ostatni guzik, lecz atmosfera utworu, czysta, jak krystaliczne powietrze górskie, wynagradza te usterki. Autorzy filmu głoszą w nim starą prawdę, że dzieciom i ludziom dorosłym też... potrzeba słońca i ciepła miłości. W ujawnianiu dobroczynnego działania serc ludzkich na dusze dziecięce postawiono może zbyt wiele kropek nad i; te kropki właśnie, wraz z pewnemi niedociągnięciami scenariusza, osłabiają nieco ogólne wrażenie.

A jest ono zdecydowanie dodatnie, dzięki wspomnianej treści, licznym i malowniczym krajobrazom górskim, dobrej zmienności poszczególnych obrazów i słusznym, coprawda nie całkowicie zrealizowanym, zamiarom reżyserskim — operowania raczej całością aktorską, niż pierwszoplanowemi figurami. Do tego trzeba dodać udział słynnego chóru chłopców z Wiednia, gdyż o ich życiu opowiada film. Pieśni i piosenki, w wykonaniu tego właśnie chóru, są najwalniejszym atutem strony muzycznej filmu.

Ale największą okrasą, najradośniejszą niespodzianką (na terenie filmowym...) stały się sceny religijne, wplecione w główny wątek utworu. Rozwiązano te sceny b. subtelnie pod względem artystycznym, więc tem dobitniej i silniej przemawiają. Rzadko, niestety b. rzadko, film porusza sprawy wiary i religii; nieraz oglądamy na ekranie niekłamany obraz życia ludzkiego, a przecież modlitwa jakby w niem nie istniała!

„Toni z Wiednia“ niejednokrotnie poruszył temat modlitwy. Gdy grajek uliczny, wraz z Toni, swoim wychowankiem, ścigani przez policjanta, kryją się w kościele, odprawia się właśnie Msza święta. Z chóru rozlega się śpiew i dwaj uciemiężcy, obaj czuli na muzykę, poczynają się gapić na chór. W tym momencie są jeszcze tylko widzami i słuchaczami, jako mimowolni „konsumenci” sztuki kościelnej. Ale gdy potężna pieśń wznosi się coraz wyżej, krążąc wśród wiązań kolumn i postaci świętych poprzez sztukę, wiara dociera do dusz przygodnie zabłąkanych. Teraz zwracają oni swe oczy i serca ku sercu kościoła — ołtarzowi, już w pokornej modlitwie.

Później, pod koniec filmu, przy łóżku zmagającego się ze śmiertelną chorobą Toni, czuwa dzień i noc jego opiekunka, siostra Maria. Aby pokazać, jak długo choroba trwa, obrazy te (choroby i czuwania) są przeplatane z innemi, ukazującemi, co się tymczasem działo na bożym świecie.

Wreszcie mamy wiosnę, bydło wychodzi w pole; z gór schodzą górale na uroczyste święto wiosenne, przy polowym ołtarzu ksiądz odprawia mszę. W tym samym czasie w chorobie Toni następuje przełom, lekarz stwierdza, że chłopak jest uratowany.

Zestawienie tych obu scen jest bardzo dyskretne, nikomu się wmawia, że stał się cud, tylko wierzące serce przeczuwa, iż wszystko się odmieniło za sprawą Boga. To też pierwszym przedmiotem, na który w tym momencie pada spojrzenie siostry Marii jest krucyfiks.

Kierownictwu kina „Roma” należy się podzięka za włączenie takiego filmu do swego repertuaru. Ze swej strony polecam go czytelnikom „Myśli”.

HOLLYWOOD: „Ostatni akord”.

Na jakiś czas w kinie „Hollywood” rozgościł się teatrzyk, teraz znów wrócono do filmu, zdaje się, że na stałe. Inaugurację tego powrotu rozpoczął b. szczęśliwie „Ostatni akord”, nad wyraz kulturalny i ciekawy film niemiecki. Prześliczna zwłaszcza jest tu fotografia, dla oczu, czułych na wartości plastyczne,—prawdziwa uczta; tak interesująco komponowanych zdjęć dawno już nie widziałem.

W tem b. pięknem urzeczywistnieniu plastycznem pokazano nam dramat psychologiczny, typu, dość charakterystycznego, dla twórczości filmowej niemieckiej. Skalpel psychologiczny był jakiś czas ulubionem narzędziem filmowcow niemieckich, tu wygrano wszystko b. dyskretną, opanowaną i skupioną grą aktorską. W sposobie użycia aktora znać także rękę inteligentnego reżysera, jak również w komponowaniu sytuacyjnem dialogów aktorskich. Wyraźny jest tu pozatem kult muzyki; ponieważ jedna z głównych postaci filmu jest muzykiem, słynnym dyrygentem, pozwoliło to na wprowadzenie do utworu fragmentów muzycznych. Łączą się one w naturalny sposób z akcją, więcej nawet: uwydatniają umiejętnie jej dramatyczność.

Dramat ma dwa wątki, które się splatają ze sobą. Żona dyrygenta nie rozumie muzyki, ale nie na tem właściwie nieporozumienie polega, ona jest lalką o poziomych zainteresowaniach i to w dodatku lalką podstarzałą (dobrze pokazano histerię starzejącej się i płytkiej kobiety). Drugi wątek, wtórny, choć mógł się stać głównym, stanowią przeżycia młodej matki, która, skutkiem pewnego zbiegu okoliczności, utraciła swe prawa rodzicielskie i potem, by zyskać dostęp do dziecka, adoptowanego przez muzyka i jego żonę, musi udawać bonę własnego synka. Obie kobiety los stawia na jednej drodze. Zwycięża młodość i uduchowienie odnosi tryumf nad płytkością.

Wśród całego zespołu aktorskiego wyróżnia się zwłaszcza aktorka, grająca rolę służącej-powiernicy, żony muzyka.

Kulturalne udźwiękowienie filmu pozwala odpocząć po hałasach różnych „ilustracyj muzycznych”.

KANDYD

# NOWE KSIĄŻKI

B a r A d a m. Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących. Tom II. Kraków 1936. Skład u Gebeth. i Wolffa. Str. 240.

K o s k o w s k i Bronisław. Compendjum farmaceutyczne z uwzględnieniem Farmakopei Polskiej (II wyd.) i najnowszych obcych. Warsz. (1936). Nakł. Związku Zaw. Farm. Str. 229.

M a c k i e w i c z Jozef. 16-go między trzecią i siódmą. Wilno 1936. „Słowo”. (Nowele).

L e c h o w i c z Al. Kaz. Mobilizacja gospodarstwa narodowego jako środek zwalczania kryzysu. Warszawa 1936. F. Hoesick. Str. 29.

G i e r t y c h Jędrzej. Po wyborach w Łodzi. Obserwacje i wnioski. Warsz. 1936. Nakładem własnym. Str. 14.

P r z y b y l s k i Marian, inż. Sytuacja hutnictwa żelaznego w Polsce. Katowice 1936. Str. 27.

Ż e l e ń s k i (Boy) Tadeusz. Perfumy i krew. Warsz. 1936. „Rój”. Str. 242.

POKŁOSIE

# KONIECZNE UZUPEŁNIENIA

PROCES Krzysztoforskiego i kilkunastu innych urzędników skarbowych w Radomiu skończył się skazaniem głównego oskarżonego na piętnaście lat więzienia, innych na mniejsze kary. Motywy wyroku warte są przytoczenia.

Sąd zastanawiał się przedewszystkiem nad tym, czym można wytłomaczyć tak wielką ilość przestępstw popełnionych w kasie skarbowej i urzędzie skarbowym powiatu radomskiego przez tak dużą liczbę osób i przez tak długi czas bez wykrycia tych przestępstw przez władze nadzorcze.

„Do przyczyn ogólnych poza czynnikami, dotyczącymi osoby Krzysztoforskiego, stanowiącego nieprzeciętną indywidualność przestępczą o wyjątkowem napięciu złej woli, sąd okręgowy zaliczyć przedewszystkiem musiał łatwość dokonywania przestępstw i trudność ich wykrywania.

„Urobiona o Krzysztoforskim opinia jako o człowieku „posiadającym duże wpływy", obojętnie czy objektywnie słuszna, oddziaływała nie tylko na osoby mu podwładne, ale i na jego przełożonych. Opinię tę podtrzymywał Krzysztoforski w Izbie skarbowej przy pomocy dobrych stosunków towarzyskich z przyjeżdżającymi rewidentami przez urządzanie przyjęć różnym dygnitarzom i ludziom, od których zależała opinia Krzysztoforskiego.

„Ta opinia, oparta w zasadzie na nierzeczowych i osobistych podstawach utrzymywała się następnie na podstawie *quasi* rzeczowej przez tzw. kontyngenty podatkowe, wymierzane poszczególnym urzędom skarbowym do ściągnięcia... Jeżeliporborcy skarbowi pobrali więcej od wyznaczonego kontyngentu, kazano im wbrew wyraźnemu brzmieniu przepisów, wpłacać pobrane kwoty dopiero w następnym miesiącu. Ten rozkaz ułatwiał sekwestratorom przetrzymywanie i obracanie sumami na własną korzyść, a równocześnie wzmacniał opinię Krzysztoforskiego"...

Naturalnie dla sądu do oceny winy podsądnych mogło być obojętne, czy urobiona o Krzysztoforskim opinia, jako o człowieku posiadającym wielkie wpływy, była objektywnie słuszna, czy nie. Ale zasadniczo to nie jest wcale obojętne i odpowiednie władze powinny się koniecznie zająć wyświetleniem tego, czy rzeczywiście takie wpływy istniały i przyczyniały się do tego, że jawny dla wszystkich złodziej przez lata całe utrzymywał się na stanowisku i teroryzował nawet urzędników, przysyłanych na śledztwo. Przeciętny obywatel nie uwierzy napewno, żeby przez kilkanaście lat można było przy największym nawet sprycie i bezczelności i chociażby bardzo obfitych poczęstunkach utrzymać „fikcję" wielkich wpływów i stosunków, jeżeli ich istotnie nie było. Uzupełnienie śledztwa sądowego w tym kierunku jest konieczne, jeżeli cały ten proces, oprócz ukarania winnych, ma przynieść jakieś uzdrowienie stosunków. Opinia przyjęłaby z radością wiadomość o wszczęciu takiego dochodzenia. Czy się go doczeka?

I nie tylko tę jedyną konsekwencję należałoby z tego procesu wyciągnąć. Były tam też inne momenty, zasługujące na uwagę. Jeden ze świadków, ziemianin, opowiadał o swych przygodach z sekwestratorami i zeznał, że gdy wywiązał się ze zobowiązań i chciał dochodzić niesłusznie wycierpianych krzywd, to jeden z takich sekwestratorów ostrzegł go, żeby dał pokój, bo zawsze znajdzie się do czego przyczepić, a „wtedy urząd skarbowy tak panu dopiecze, że będzie pan do końca życia pamiętał".

Wszyscy się pewno na to godzimy, że urząd skarbowy jest do zbierania podatków i o ile można z najmniejszą przykrością dla płatnika i żadne dopiekanie nie leży w jego zadaniach. A już dopiekanie na podstawie jakiejś przyczepki, która zawsze się znajdzie jest zbrodniczym nadużyciem władzy, które powinno być najsurowiej tępione. Zdaje się jednak, że kładąc nacisk na ten punkt wystawialibyśmy sobie świadectwo zbyt wielkiej naiwności, co publicyście nie przystoi.

Mimo to jednak trzeba na te rzeczy zwracać uwagę opinii, chociażby się nie miało wielkiej nadziei na skutek. Bo jednak zawiele tej nieprawości się rozmnożyło w Polsce od czasu wkroczenia w epokę sanacji moralnej. Sprawa Parylewiczowej wybuchła i obecnie jakoś przycichła. Starosta działdowski dr. Twardowski został ostatecznie skazany za nadużycia i bezceremonialną gospodarkę groszem publicznym. Afera kredytów sanacyjnowydawniczych na Pomorzu jakoś nie pociągnęła za sobą skutków sądowych. Teraz znów odbywa się proces w Ostrowie Wielkopolskim, gdzie świadkowie zeznają, iż policja namawiała swego konfidenta do podrzucenia literatury nielegalnej i materiałów wybuchowych tamtejszemu przywódcy ruchu narodowego drowi Mamokowi, aby można go było wytransportować do Berezy. I rzeczywiście wywieziono go do tej słynnej już nietylko na Polskę miejscowości.

A nie tak dawno znów podniesiono publicznie przeciw jednemu ze starostów zarzut, że użył części sum, zebranych na pomoc powodzianom w roku 1934 na zupełnie inne, nic z powodzią nie mające wspólnego cele. Dobrze byłoby, gdyby opinia publiczna mogła się dowiedzieć, jak stoi sprawa z tymi zarzutami i co się stało z owym starostą. Byłoby to tembardziej na czasie, że właśnie społeczeństwo ma złożyć bardzo poważne sumy do rąk przedstawicieli władzy na zimową pomoc bezrobotnym. Składanoby obficiej i z większą ochotą, gdyby było zadokumentowane na przykładzie jak to niebezpiecznie jest, nawet dla starosty, używać sum dobroczynnych na inne cele.

Ale czy naprawa jest możliwa, jeżeli w kraju zabrakło niezależnej trybuny, skąd można było bez obawy i bez ograniczeń nadużycia piętnować i sprawować kontrolę? Doświadczenie wielu wieków historii stwierdza, że jest to niemal wykluczone i zadaniu takiemu nawet Harun al Raszyd dawał rady tylko sporadycznie.

ARGUS

## NA MARGINESIE

Z artykułu wstępnego „Kurjera Porannego" (3.IX); organu, obecnie „miarodajnego":

> „Każdy n a s z wysiłek, każda pozytywna praca, każde zwycięstwo i każde osiągnięcie — było dotychczas podnoszeniem Polski ponad poziom endecji. Myśmy się d o p r a c o w y w a l i ciężko, aby endecja w Polsce nie była wszystkiem. Aby przestała się podawać za autorytet, zasługę, mądrość państwową, wyraz patriotyzmu. I mam przeświadczenie, że jednak się od tego d o p r a c o w a l i ś m y.
>
> Mówiąc „my", nie mam na myśli żadnego obozu politycznego. Istnieje w Polsce, chwała Bogu, c o ś w y ż e j s i ę w z n o s z ą c e g o ponad obozy partie polityczne."

Co tu długo gadać! „My" — to żydzi i ich zwierzęta domowe — masoni polscy.

D o r o b i l i ś c i e się — to pewna. Ale „dopracowywać się" — to żargon. Zabawna jest ta parada szumowin, dobywających się nad poziom garnka. Przyjdzie kucharka z warząchwią — i tyle was widzieli!

**TREŚĆ:**




Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM